Nr. 15 i 16 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 sierpnia 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Czasy ochronne

obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej z wyjątkiem województwa śląskiego

(Czas ochronny oznaczony jest ciemnemi polami)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Łosie - byki [1])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Jelenie - byki, daniele - rogacze [2])	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		■	■
Sarny - kozły [2])	■	■	■	■	▌15						■	■
Zające - szaraki [2])	▌15	■	■	■	■	■	■	■	■	▌20		
Zające - bielaki		15▌	■	■	■	■	■	■	■	■		
Niedźwiedzie [3])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Rysie [4])	15▌	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15
Borsuki [5])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■		■
Wiewiórki [6])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Cietrzewie - kury w wojew.: Wil, Białost., Nowogr., Polesk., Woł.		■	■	■	■	■	■	▌15	15▌	■	■	■
Jarząbki, pardwy		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty [7])		■	■	■	■	■	■	■	■	■		
Kuropatwy w woj.. Wil., Białostoc., Nowogr., Polesk., Woł., Krak., Lwowsk., Stanisławowsk., Tarnopol. [7])	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Kuropatwy w województwach pozostałych [7])	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki . . . . od przylotu			■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory [8])						■	▌15					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌15					
Dropie, dropie - kamionki (strepety), [9])	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■
Dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dzikie indyki - samce [10])					15▌	■	■	■	■	▌15		
Dzikie indyki - samice	■	■	■	■	■	■	■	■	■	▌15		
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				

Zabrania się wogóle polować na: żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w Województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem na cietrzewie-kury. Minister Rolnictwa uprawniony jest zezwolić na polowanie na te zwierzęta z wyjątkiem żubra i bobra.

1) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730.
2) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
3) Min. Roln. z dnia 11. V. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 51, poz. 423.
4) Min. Roln. z dnia 23. VI. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 60 poz. 487.
5) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
6) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr 94, poz. 730.
7) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
8) Min. Roln. z dnia 20. X. 1931 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 96, poz. 737.
9) Min. Roln. z dnia 20. XII. 1930 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 94, poz. 730
10) Min. Roln. z dnia 26. VI. 1929 r. Dz. Ust. R. P. Nr. 50, poz. 416.

Wszystkie terminy ochronne należy rozumieć włącznie

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

Biuro M. T. Ł. podaje niniejszem do wiadomości, że część własnych i komisowych wydawnictw może oddać po cenach zniżonych, jak następuje:

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk zł 1·— (zamiast 6·—)
Lisowice III. tom . . . . „ 1·— „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . „ 1·— „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . „ 1·— „ 3·—
Roczniki „Łowca” od 1928 r. po „ 10·— „ 20·—

Sztolcman Jan: Żubr . . . . zł 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka R. P. P. z r. 1927 . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: „Słonka” . . . . „ 2·50
z doliczeniem opakowania i porta

TREŚĆ NUMERU 15 i 16:

Witołd Ziembicki: † ś. p. Józef Weyssenhoff (nekrolog). — *Stanisław Zaborowski:* „Najwierniejszy przyjaciel”. — *Leopold Pac-Pomarnacki:* Zgrzyt (feljeton). — *Kazimierz Wodzicki:* Przez Puszczę Białowieską ze strzelbą, lupą i objektywem. — *Artur Groetschel:* Ciekawy szczegół z życia kszyka. — *Antoni Pisuliński:* Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych (c. d.). — *Władysław Gürtler:* Kilka wspomnień o moich legawcach. — *A. Ulm:* Ogólno polska wystawa i targ psów rasowych przy XII Targach Wschodnich we Lwowie. — Ze stacji badania wędrówek ptaków. — Sprawozdanie z obrad Walnego Zgromadzenia M. T. Ł. w dniu 26 czerwca we Lwowie. — Korespondencje. — Sprawy Towarzystwa (Z oddziału M. T. Ł. w Krakowie). — Lista osób które ofiarowały daninę dla M. T. Ł. — Z wydawnictw

Nr. 15 i 16 We Lwowie, 1 sierpnia 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Ś. † P.

JÓZEF WEYSSENHOFF

Józef Weyssenhoff zmarł w Warszawie dnia 6 lipca w 72 roku życia.

Wspomnienia o nim nie może braknąć w czasopiśmie łowieckiem. Ale byłoby wynikiem nieporozumienia, gdybyśmy go nazwali pisarzem łowieckim. Byłoby to ujęciem mu cech wielkiego powieściopisarza, którego talent sięgał po laury na szerokiej arenie publicystycznej. Twórczość jego była dwojaka. I teren jej podwójny. Jednym był salon, drugim puszcza. Na tle pierwszego powstały powieści obyczajowo-polityczne o charakterze wybitnie satyrycznym (Podfilipski, Sprawa Dołęgi i t. d.). Na tle drugiego powstały dwie powieści *sui generis:* „Soból i Panna", jakoteż „Puszcza". Ale i to nie są, jakby je mylnie nazwano, powieści „myśliwskie". Tylko, że scenerję stanowi przeważnie przyroda, a w scenarjuszu, pod mistrzowską reżyserją Weyssenhoffa, przewijają się sceny łowieckie. Wielki historyk literatury polskiej, Brückner, pisząc o współczesnej powieści potocznej, zalicza Weyssenhoffa, wraz z Orkanem i Sieroszewskim, do autorów drugorzędnych, w przeciwstawieniu do pierwszorzędnych: Żeromskiego, Reymonta, Berenta. I słusznie. Nie ma też żadnej wątpliwości, że jego powieść satyryczno-obyczajowa, po części oparta na zdarzeniach i zapatrywaniach przemijających, nie epokowych, przeminie wraz z niemi. Cały ten dział twórczości Weyssenhoffa pójdzie w niepamięć, jak przyczyny, które się nań złożyły. Może i lepiej, że pójdzie w niepamięć niejeden twór tej satyry, która, zrazu zdrowa i smagająca w imię patrjotyzmu, z czasem — jak to bywa z czasem i wiekiem, a więc o zmierzchu, — stała się dokuczliwą i zrzędzącą (Jan bez Ziemi). Natomiast nie stanie się to z „Sobolem", ani z „Puszczą". Przeciwnie. Wartość tych dzieł, opartych o nieśmiertelne piękno przyrody, jest niespożyta. Będzie ona raczej wzrastała, w miarę, jak w tej swoistej polskiej przyrodzie będzie coraz mniej z... Sobola i coraz mniej z Puszczy. Niemi to stworzył Weyssenhoff w polskiej literaturze epokę, niemi, a nie tamtemi, zdobył sobie nieśmiertelność. I chociaż talent jego w opisywaniu przyrody nie dorównywa, bo nie może dorównać deskryptywności Sienkiewicza, a jego poezja nie sięga do wyżyn mickiewiczowskiego „matecznika", to jednak „Soból i Panna", obok „Puszczy", mają w sobie tyle żywiołowej siły w odtworzeniu rodzimego pejzażu i tyle oryginalności w malowaniu swoistego nastroju w przyrodzie, że p. Mieczysław Piszczkowski, znakomity badacz i znawca Weyssenhoffa, nazywa go — jego pierwszego w polskiem piśmiennictwie — POETĄ PUSZCZY.

Oto powód, dlaczego wśród chóru hymnów na CZEŚĆ PAMIĘCI zmarłego pisarza, winien się odezwać i skromny głos „Łowca".

Witołd Ziembicki

STANISŁAW ZABOROWSKI

„Najwierniejszy przyjaciel"*)

Pewien czołowy, wytrawny dziennikarz, którego zapytałem, jakie tematy poruszyć są w stanie t. zw. publiczność najgłębiej, odpowiedział mi: polityka i pies. — O paradoksie tym, rzuconym pół poważnie, pół żartem, rozmyślałem potem niejednokrotnie i niedalekim jestem przekonania, że w powiedzeniu przyjaciela mego, dziennikarza-filozofa, dużo jest prawdy.

Odwieczne współżycie, wzajemna zależność i wszechstronna rola, jaką odgrywa pies w życiu człowieka wszystkich epok i wszystkich stref, musiały sprawić, że właściwości i los, a nawet, powiedzmy otwarcie, strona wewnętrzna, t. j. charakter istoty, która związała losy swe tak ściśle z losami człowieka i przestaje z nim tak blisko, obojętnemi dla umysłów, skłonnych do refleksyj pozostać nie mogły.

Do symbiozy tej, jedynej w przyrodzie, do starej jak świat spółki, wiążącej psa z człowiekiem, słabego z mocnym, pies, synonim wierności i poświęcenia, wnosi i oddaje człowiekowi na usługi wszystko, co oddać może żyjąca istota: prawa wszystkie i przywileje, przywiązanie bez granic, życie, jeżeli zachodzi potrzeba i całe bierne, pokorne, kochające psie serce. — Po za sumieniem i wolą człowieka, instancji, przed którą poskarżyćby się mógł i pożalić, pies nie ma.

W przepięknej swej noweli „Psie dusze", powiada Bartkiewicz: „Nie wiem, co w takiem marnem, psiem ciele mieszka, co w niem myśli i rządzi — dusza nie dusza. — To pewne jednak, że żyje tam serce."

Aby dogodzić człowiekowi i zadowolić wszelkie jego wymagania, pies doskonali od wieków przyrodzone swe zdolności a nawet, po myśli człowieka, zmienia budowę swą i postać. — Mądry, pełen poświęcenia, atletycznej budowy St. Bernard pnie się po górach i szuka zbłąkanych, a nurek zawołany, pół ziemny, pół wodny Terre-Neuve ratuje tonących.

Na wojnie, gdzie przekraść się nie może człowiek, tam, na śmierć, z rozkazami lub z pomocą rannym, idzie karnie pies-żołnierz; wywiadowca i sanitarjusz.

Bez glorji sławy, lecz niemniej ofiarne i ważne dla człowieka obowiązki, pełnią psy pociągowe. — Na dalekiej północy, na śnieżnych pustyniach bez końca, istnieć bez nich nie mógłby biały człowiek, ani tubylcze plemiona całe. „Koń nie wytrzyma, renifer oszuka, dojdzie tylko pies" — mówią Tunguzi. — A psy owczarskie i policyjne, a strzegące dobra ludzkiego dniem i nocą, w mróz i w słotę, niedostępne, nieprzekupne psy podwórzowe. — W życiu codziennem, gdzie spojrzeć! — odważny do szaleństwa, prawdziwy rycerz bez skazy, nie znający odwrotu, Bayard psi — fox-terrier. — Tuż za nim idzie, brzydkiego ciała, lecz pięknych zalet, niezłomny w obronie pana, do zwartej pięści podobny i jak pięść nagły — buldog. — Inny jeszcze świat a zawsze o psie mowa. — Ukochanie dzieci, ich towarzysz zabawy, zmyślny jak człowiek, radość domu całego a przyjaciel kuchni — pudel!

Cały wreszcie ród pokojowego drobiazgu, jedynem zadaniem którego jest kochać swego pana a celem życia, to być przez pana kochanym. Bezbarwne, ciche życie bez dni wstrząśnień i bez sławy — nie zawsze szczęśliwe, jeżeli w domu są złe dzieci. Ale, — tak chciał człowiek!

Pierwowzór psiego roku całego, jego kwiat i korona, to pies myśliwski; towarzysz jeszcze z czasów, kiedy człowiek polować musiał, żeby żyć. — Protoplaści poznali się w jaskini, zbliżył ich wspólny interes. — Wówczas to, bodaj na nieszczęście dalszych pokoleń, pies oddał swe losy w niewdzięczny depozyt człowieka; za łyżkę marnej strawy, zaprzedał się w niewolę. — Stara to, bardzo stara służba, a najjaskrawszym przykładem co zrobił ze siebie pies dla człowieka, jak bardzo zmieniać potrafił i wrodzone swe skłonności i stronę swą fizyczną, to właśnie, w licznych odmianach, pies myśliwski.

Więc, z jednej strony uosobienie szybkości, na wysokich, jak szczudła nogach, zaopatrzony w potężne płuca, posągowo wysmukły i lotny jak strzała, chart i, na drugim biegunie, podobny do gąsienicy, karykatura psa na krzywych nogach, przeznaczony przez człowieka do podziemnej pracy sapera — nieustraszony jamnik. „Nikczemnego ciała", lecz wielkich walorów, życiem przepłaca często swą odwagę.

Drugi, sercu człowieka-myśliwego szczególnie bliski i szczególnie miły korowód psów myśliwskich, otwiera, w genealogji najstarszy, ród gończych. — Na jego czele idzie, stary arystokrata, uznana wielkość, prowadzący wołaniem swem dwory i całą prześwietną Izbę Lordów, ogar biorący par force lisy i jelenie. Dalej, z tej samej rodziny: beagle, barset'y, „porcelanowe", polskie, kurlandzkie, a to nie wszystkie jeszcze. — Na szarym końcu, choć krwi tej samej, prawdziwy „ubogi krewny", poleszuk, głosem również prowadzący skromnego szaraka, gdzie na przesmyku czeka kłusownik.

Innej już krwi, bez „indygenatu" i nie „urodzone", lecz cnót rycerskich, dla odwagi chodzące pod znakiem Św. Huberta i honor ten często krwią własną pieczętujące, opisywane wdzięcznie przez naszego Wodzickiego — kundysy i pokurcze.

Osobno niejako, najbliżej człowieka i na hierarchicznej drabinie najwyżej, stoją uprzywilejowani jego towarzysze pod dachem i w polu, nieledwie członkowie rodziny: wyżeł i spaniel. — Pierwszy, piękny często jak malowanie, poczciwy, łagodny, równie kochany przez dzieci, jak pudel i, stara krew z portretów Van Dyck'a, spaniel, w domu pieszczoch i sybaryta, w polu myśliwy do szpiku kości, aporter i wywiadowca zawołany.

Dwór angielski ma w swojej liście cywilnej stały etat na utrzymywanie dwóch spanieli. Zwyczaj ten przestrzegany wiernie od wieków, datuje z czasów, kiedy książę krwi angielskiej, przebywający w Danji na wygnaniu, zamordowany został skrytobójczo na polowaniu, a jego ulubiony spaniel, który mu towarzyszył, sprowadził pomoc i wskazał zabójcę. — Na wieczną rzeczy pa-

*) Rzecz napisana dla „Łowca" z powodu Wystawy psów i literatury kynologicznej. *Red.*

miątkę, na dworze królewskim angielskim, mieszkają stale dwa spaniele.

Aby zebrać przeżyte, słyszane i wyczytane opowieści tyczące wierności i poświęcenia psa, spisaćby z nich trzeba tomy całe. — A coraz nowe, coraz jaskrawsze, zdumiewające niektóre, przynosi codzień życie. — Któż z nas nie płakał, jako dziecko nad losem psa, który nie chciał opuścić pana swego po śmierci i umarł na grobie z głodu. — Kto nie czytał Dygasińskiego i nie pamięta Amiga, psa Robinzona Kruzoe. — Kogo nie wzrusza do głębi serca los psa niewolnika, prowadzącego ociemniałego, albo ginącego w obronie ludzkiego dziecka. — A bohaterskie karty z żołnierskiej służby psa! Obrazek: na polu, podczas bitwy leży ranny żołnierz, a przy nim ranny również pies, który dowlókł się niosąc opatrunek. Żołnierz płacze i z własnej manierki poi psa. — W każdej rodzinie prawie, przekazywane z pokolenia na pokolenie, żyje podanie o nadzwyczajnych zasługach psa domownika, który służył jej niegdyś. — Były psy nawet, których imiona znane były szeroko w świecie i powtarzane są ze czcią.

Barry, sługa klasztorny na górze św. Bernarda, ma w Paryżu pomnik z napisem: „Czterdziestu osobom ocalił życie, zabity przez czterdziestą pierwszą". — Krótki, wymowny życiorys: cała w nim historja wdzięczności człowieka dla psa. —

Wkońcu ubiegłego stulecia cała Anglja znała psa „kolejarza" na dworcu Paddington w Londynie. — Ze skarbonką u szyi, wiecznie zaaferowany, kręcił się między podróżnymi i zbierał ofiary na wdowy i sieroty po pracownikach kolejowych. — Niekiedy, dla rozmaitości, „wsiadał" do pociągu i jechał zbierać na prowincji. — Wracał jednak zawsze do Paddington, gdzie mieszkał stale. Odmówić datku kwestarzowi takiemu nie łatwo było, Anglikom zwłaszcza, więc dawali ludzie chętnie i nie skąpo, skoro za zebrane w ten sposób pieniądze wybudowano duży gmach dla sierot. — Po pracowitem życiu umarł ze starości, a ludzie przez wdzięczność, pomnik mu wystawili na tym samym dworcu, na którym mozolił się dla nich przez cały swój psi żywot.

Mało znana, a tak bardzo wzruszająca, tak charakterystyczna jest historja całego zaprzęgu psiego, jaka miejsce miała w Kanadzie. — W zapadłej osadzie, zasypanej śniegami, od świata odciętej, pojawiła się wśród dzieci epidemja dyfterytu. — Surowica więc na gwałt! Błaganie o pośpiech — radio — depesze. Wyprawiono w drogę najlepszy zaprzęg; dwanaście psów. — Dwa dni i dwie noce pędziły jak wiatr; bez wytchnienia. — Padły do jednego, ale surowica dla dzieci, dostarczoną była na czas.

— — — — — — — — — — — — —

Dużo przykładów niepospolitego rozumu i poświęcenia ze strony psa, przyniosła ostatnia wojna. W kronikach pułków, a nawet w rozkazach dziennych, ileż razy spotykamy imiona psów, współtowarzyszy żołnierza, które odznaczyły się podczas bitwy. — Szczęśliwsze, wybrane przez los, wracały z pola żywe i okryte chwałą, otoczone sercem i opieką, kończyly bohaterski żywot jako weterani-emeryci w koszarach pułków w których służyły. — Inne, a takich było dużo, dużo więcej, wierne do końca, śpią dziś obok człowieka, zapomniane, na polach chwały.

Wzruszające, wymowne napisy czyta zwiedzający cmentarz dla psów w Paryżu. — Niektóre z nich refleksje budzą głębokie. — „Nie kradł, nie kłamał, za oczy nie szczekał", albo: „Tu leży przyjaciel, który nie zdradził mnie nigdy". Inny jeszcze napis: „Był mi zawsze przykładem".

Po latach współżycia i wzajemnego przywiązania, ze serca brane, szczere, gorące słowa uznania. — Dyktowała je wdzięczność i ból rozstania, uwiecznić kazała cześć dla tych właśnie zalet w człowieku. — Podobnych aforyzmów zresztą ludzie stworzyli dużo. — We Francji mówią o psie: „Ami du pauvre, gardien du riche". — Kiedyś stary inwalida francuski ze 70 roku, przychodzący do ogrodu karmić wróble, a wielki przyjaciel psów, opowiedział mi bajkę. — Bóg stworzywszy człowieka zrozumiał, że pomylił się i dzieła dokonał pełnego błędów i wad. — Po pewnym czasie, chcąc złe naprawić, za wzór dał człowiekowi psa i kazał wzór ten naśladować.

Wielki hodowca słoni w Indjach, przyrodnik i myśliwy Sanderson, zapytany, które stworzenie uważa za mądrzejsze i bliższe człowieka — słonia, czy psa, odpowiedział: Nie można porównywać. — Słoń jest tylko posłusznym niewolnikiem, a pies przyjacielem człowieka.

— — — — — — — — — — — — —

Wręcz rozczulającem i głębokiego zastanowienia godnem jest gorące, z miłością graniczące uczucie przywiązania, z jakiem odnoszą się do psa ludzie nieszczęśliwi i upośledzeni: nieuleczalni, kalecy, więźniowie i samotnicy. — W przypadkach szczególnie jaskrawych, w których los szczególnie srogo ucisnął człowieka, objaw egzaltowanego przywiązania takiego cechy przybiera nieledwie chorobliwe. — Czy objaw ten przypisać należy wiecznie żywej, tlejącej w najtwardszych sercach, wrodzonej potrzebie kochania, czy oczom psa, z których wygląda na świat oddane człowiekowi i kochające, mimo wszystko, zawsze i wszędzie, serce psa — wieczną pozostanie tajemnicą. Szczęśliwy, kto w życiu nie zaznał chwil, w których miłujący wzrok psa bliższym jest sercu i lepiej koi ból, niż obecność i słowa pociechy bliskiego człowieka. — A może, może to złudzenie tylko, które człowiek stwarza sobie sam? — Może, — ale złudzenie to jest słodkie, człowiek pożąda go i szuka u psa.

Będzie dwa lata, w mieścinie pod Warszawą, wegetował emeryt, urzędnik kolejowy, zwyczajny, szary „człowiek z ulicy". Miał żonę i dwoje dzieci. — Niewiele pożądał, więc żył szczęśliwie. Ale, dotknęło go palcem swym przeznaczenie; w jednym tygodniu umarła mu żona i dzieci — oboje. — Został mu tylko wychowany w rodzinie od szczenięcia pies, ulubieniec dzieci. — Radzili sobie we dwóch, ludzi nie szukali i jakoś trwali, razem dźwigając swój los. — Aż, pewnego dnia, psa zabił pociąg. Człowiek-nędzarz został sam, zupełnie sam. Nie skarżył się jednak i nie płakał; zabrakło mu łez. —

Bez słowa, zabrał ciało towarzysza, pogrzebał i — odebrał sobie życie. — Nerwy, depresja, tłumaczyć zechcą rezonerzy; dobrać komunał nie trudno. Ludzie tyle ich noszą w zanadrzu. — Faktu nie zmieni nic. — Człowiek skrzywdzony przez los zbyt srogo, stanął na skraju, poza którym życie ciężarem jest nie do zniesienia, a jedyną, ostatnią siłą, która zatrzymywała go z tej strony, ostatnią nicią, która go jeszcze wiązała z życiem, było przywiązanie do psa. — Los przeciął i tę ostatnią nić, więc człowiek runął. — Siły i pierwiastki zrośnięte głęboko z duszą człowieka, które wchodziły tu w grę, istnieją jednak i godne są uwagi psychologa. — Jaką jest i czem jest dla człowieka istota, która zdolną jest pierwiastki te i siły budzić i wyzwalać. — Tak przedstawia się stosunek psa do człowieka. — Jak odpłaca mu ludzkość?

— — — — — — — — — — — — — —

Moraliści twierdzą, że najwyższym sprawdzianem wartości wewnętrznej, t. j. charakteru, etyki i kultury człowieka, jest postępowanie, kiedy nie kontroluje go i nie kieruje nim, prócz własnego sumienia nikt i nic; ani przepisy religijne, ani prawo i sąd, ani choćby t. zw. opinja. — Sprawdzianem więc takim jest, niewątpliwie, stosunek jego do istot bezbronnych, t. zn. zależnych wyłącznie od dobrej lub złej woli człowieka. — W stosunku do swego pana istotą taką jest pies, który, prócz sumienia człowieka, ucieczki od losu swojego i od swej krzywdy, nie ma żadnej. — Jakie sumienie, taka sprawiedliwość. — Beznadziejnie przedstawia się w tem oświetleniu dola psa.

— — — — — — — — — — — — — —

Przysłowia, jakoby, mądrością są narodów. Efektowny być może, jako frazes, paradoks ten umysłu średnio krytycznego nie trafia i brzmieć powinienby raczej: przysłowiami mierzy się mądrość narodów, albo: jaka mądrość, takie przysłowia. Ale — przypuśćmy. — Jeżeli więc, w powtarzanym chętnie bezmyślnym aforyzmie kryje się istotnie cień prawdy, to osobliwie zaiste przedstawia się „mądrość narodów" w przysłowiach odnoszących się do psa. — Wobec ustawicznego, bliskiego obcowania i wybitnych jego cech, właściwych naturze psa, przysłów takich mamy dużo; jest w czem wybierać. — Przysłowia te zresztą, choć o psie mówią niby, odzwierciedlają raczej sumienie i rozum jego pana — człowieka. Z jednej strony, uderza w nich bezwzględny, do naiwności posuwany egoizm, mierzący wartości i zalety wszelkie miarą jedynie własnych korzyści. — „Wierny jak pies", „przywiązany jak pies", „poczciwy jak pies". Z drugiej strony: obojętność zupełna dla zasługi i dla poświęcenia, lekceważenie dla pokory i, z okrucieństwem graniczący brak litości dla istoty bezbronnej. Czy nie stwierdzają tego, aż nadto wyraźnie, przysłowia: „Wygnany jak pies", „bez dachu, jak pies", „zdechł pod płotem jak pies". I znowu, jak nam bliskiem, jak z nami zrośniętem jest pojęcie istoty psa, świadczy wymownie, wiecznie gotowe, wiecznie na ustach, rzucane przez cały świat, jako przekleństwo i jako wyraz uznania, stare jak nasza mowa „psiakrew!". — Przysłowia ludzkie malują przedewszystkiem dolę psa. „Psi los", „psie plemię", „psi koniec". —

Razem zebrane, przysłowia powyższe malują niewątpliwie i to malują dosadnie charakter człowieka i dolę psa ale, — gdzie tu mądrość, gdzie ślad choćby konsekwencji, gdzie, i to jest najboleśniejsze, sumienie! — Już nie uznanie, nie wdzięczność, a prosta sprawiedliwość, jaką nakazywałoby sumienie.

Rok temu, kiedy ogłoszono podatek od psów, na wsi, jak daleko sięgnął ukaz, zawrzało. — Kto żył, naradzał się jak najłatwiej zbyć psa. — Jedni chcieli poprostu topić. Kamień do szyi i koniec. Inni woleli wieszać. — O stary postronek nie trudno, a drzew nie brak. — Byli i tacy, przyznać trzeba, którzy zabijać swych psów nie chcieli i woleli je „wywozić". — Sympatyczny ten, więcej miłosierny jakoby, rodzaj egzekucji, polega na wywiezieniu albo wyprowadzeniu psa tak chytrze, żeby drogi zpowrotem odszukać nie mógł. — „Znaczy, to taki jucha mondra, co wróci do dom". — Tak, wróciłby

---

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

ZGRZYT

(Z cyklu: Janka*)

p. Włodzimierzowi Korsakowi

Korzystając z parodniowych świąt, przyjechała Janka do rodzinnej posiadłości. Już przed tygodniem, siedząc w klasie pośród licznych koleżanek, rozmyślała o tem, jak pięknie jest teraz na wsi. Napróżno starała się wówczas skupić uwagę i słuchać tego, co opowiadał dobroduszny historyk, napróżno przyjaciółki omawiały swe sukcesy z ostatniego wieczorku — nie interesowało już jej to zupełnie. Myśl natrętna o rychłym wyjeździe na wieś całkowicie ją zaabsorbowała i wyrywała się ustawicznie naprzód, chcąc już tę chwilę jakkolwiek przyśpieszyć. To też i teraz, siedząc na kanapie w gabinecie ojca, rozmyślała o cudach przyrody, przejawiających się właśnie w tym czasie, gdy cała natura zdawała się śpiewać jeden potężny chorał na cześć życia i miłości.

W czasie feryj Wielkanocnych brała po raz pierwszy w życiu udział w polowaniu na słonki. Urok tych romantycznych łowów pozostawił w jej duszy niezatarte wrażenie. Drzemiąca w sercu iskra myśliwska zapłonęła odtąd jasnym płomieniem, pociągając dziewczynkę na łono przyrody, zachęcając do szukania wrażeń i przygód łowieckich, zawsze świeżych i zawsze jednakowo pięknych. Pamięta jeszcze te trudności, z jakiemi wówczas musiała walczyć, by uzyskać zezwolenie ojca i aprobatę brata. Pamięta gwałtowny łomot serca w chwili, gdy gajowy udał się na poszukiwanie zabitej słonki, a potem usłyszała to upragnione: „jest panienko". O jakże wówczas czuła się szczęśliwą, z jaką radością wkraczała pod dach ojcowski, dźwigając z namaszczeniem to pierwsze w życiu trofeum.

*) Patrz „Łowiec Polski" Nr. 18 z b. r. „Pierwsza słonka".

niewątpliwie, gdyby umiał, bo tak każe mu przeznaczenie i ślepe przywiązanie do człowieka, który go wychował. — Tak likwidują wiernego a już zbytecznego sługę „panowie stworzenia" odwiedzający targi większych miast, gdzie zgubić psa jest łatwo? — Prosto bez gwałtu i uczciwie. Na myśl nie przyszło nikomu, żeby zapłacić i ocalić przyjaciela. Pożałowano mu. Podatek zresztą zbyt drażniący szeroką ludność wiejską, niebył ściąganym. W pośpiechu jednak, dużo, dużo niewinnych, bezbronnych Burków i Kruczków zapłaciło za nieszczęsny dekret życiem.

Nie mniej typową była homeryczna wojna, jaką, przed paru laty, wypowiedziały psu władze miejskie. Chodziło niby o „epidemję" więc, na pozór, nic straszniejszego. Ani słowa! — W naiwności ducha swego jednak ludzie rozumieli że, jak kazałaby logika, usunięte być mają przedewszystkiem z miasta psy pozbawione opieki i podejrzane. Nie liczono się jednak ze zielonym stolikiem i z — przepisami. Ludzie dowiedzieć się mieli niezadługo, że władze szerzej i głębiej pojmują sprawę. Nie o psy chore, błąkające się („zgubione") i podejrzane chodziło, a o psy wogóle. Obmierzić postanowiono życie nieszczęśliwym stworzeniom i, opłacającym wysokie stosunkowo podatki, ich właścicielom. Posypały się więc przepisy i rozporządzenia; coraz nowe, i coraz surowsze, a wszystkie po linji najsłabszego oporu.

Ponieważ pies, istota niema i bezbronna, ani protestować, ani dowodzić praw swoich nie może, jego uznano za jedynego winowajcę i przeciw niemu tylko skierowano wszystkie rygory. Kaganiec, smycz, paszporty, świadectwa zdrowia i t. p. i t. p. Za wszelkie najlżejsze wykroczenia: więzienie i kara śmierci. Ze zwykłą dla psa bezwzględnością zapominano, że i jemu, jako żywej istocie i rejestrowanemu podatnikowi, należy się pewne minimum prawa i sprawiedliwości, na tyle chociażby, żeby sprawy stanowiące o jego losie i życiu rozpatrywane być mogły z elementarną znajomością rzeczy. Kaganiec?... Słusznie zupełnie, logiczny i radykalny. Ale dlaczego smycz! Wszak pies w kagańcu gryźć ani szkodzić nie może. Dlaczego odbierać resztę swobody i możność ruchu! Albo świadectwa zdrowia i niezrównane psie paszporty!

Gdzie, dla jakiego-takiego zbadania podejrzanego o chorobę psa, niezbędne są całe tygodnie, procedura załatwianą była od ręki, w ciągu paru minut. Na co, w jakim celu? — Jeżeli chodzi o pięć złotych za „badanie", prościej będzie i więcej przyniesie dochodu, powiększyć o tę sumę podatek. Na co dręczyć i właściciela i psa. Człowiek o zdrowych zmysłach, sam dba o swego psa, za którego płaci podatek i, ani z nim podróżować, ani spacerować inaczej, jak do weterynarza nie będzie. Pies więc i tylko pies, ponosić ma całą surowość rozporządzeń i przepisów.

Człowiek zaś trzymający psa lekkomyślnie, nie opłacający podatku, nie zapewniający mu należytej opieki, nie stosujący kagańca, nie dający mu jeść, pozostawiony został na uboczu i odpowiedzialności ani kary nie ponosi żadnej. Gdzie tu sprawiedliwość i gdzie logika. Akcję przeciw psom, jak to u nas moda, na wielką odrazu podjęto skalę.

Więc, rozumie się: samochody, szoferzy i umundurowani „funkcjonarjusze" t. j. łapacze. Polowanie odbywało się nie, jak na całym cywilizowanym świecie, wcześnie rano, kiedy spotkać można psy zbłąkane, zgubione i podejrzane, a przez cały dzień, w godzinach kiedy ulice pełne bywają ludzi i ruchu.

Nie chodziło bowiem, jak przypuszczaćby to mogli naiwni, jedynie o, zagrażające zdrowiu, psy bezpańskie i podejrzane, a nawet nie o takie chodziło głównie. Wyznał to zresztą „funkcjonarjusz" taki, w przystępie szczerości, otwarcie. — „Nie opłaca się wyjeżdżać na miasto za wcześnie, bo publika psów tak rano nie wyprowadza". — Nie opłaca się, t. zn. na mieście niema jeszcze psów, za schwytanie których ściągnąć można okup. Szczere i wymowne! Troska więc o zdrowie dwu i czwo-

---

Oczekując teraz na przyjście brata, przygotowującego dla niej ładunki, przyglądała się swemu męskiemu ubiorowi i długim butom z cholewami, wypróbowanym już w czasie uprzednich łowów. Były doskonałe i nie przepuszczały wcale wody, pomimo spaceru po mokradłach.

Postanowiła dziś jeszcze wybrać się na włóczęgę myśliwską. Nie chodziło już jej o zwierzynę. Pragnęła tylko zobaczyć teraz, na wiosnę las, gwałtownie budzący się do życia, przy dźwiękach kapeli przybyłych z za morza koncertantów.

Zdjąwszy z rożków swą wierną szesnastkę — powitała ją radosnym uśmiechem jak przyjaciółkę. W tej chwili w drzwiach gabinetu ukazał się brat, przynoszący gotowe już naboje. Rozradowana krótkim trzepotem rozpostartych szeroko ramion, objęła go za szyję, zasypując gradem pocałunków. Potem włożyła ładunki do kieszeni swej kurtki myśliwskiej i ucałowawszy miękką dłoń ojca — jak ptak wyfrunęła na podwórko, kierując się aleją topolową w stronę brzezinowych zagajów. A za nią pobiegły dwa męskie spojrzenia radosne i miłujące.

Była to druga połowa maja. Lasy okryły się drobnem jeszcze, jasno-zielonem listowiem i wyglądały w oddaleniu jakby przysłonięte lekką mgłą. Kilka klonów przydrożnych, usianych gronkami żółtego, opadającego już kwiecia, złociło się w dali jak kopuły świątyń. Ale najpiękniejszy był gaj brzozowy, gdzie smukłe, białe pnie, wyglądające jak panienki w śnieżnych welonach na fali długich, rozwianych włosów, wdzięczyły się do niemej pieszczoty swawolnego słońca, rzucającego złote błyski przez szczeliny w drzewnych koronach. U ponoża drzew, jak rozesłany kobierzec, rosły zwarte łany zawilców, a miejscami kaczeńców i kopytnika. Na wilgotnych kępach mchu wiły się długie, omszone pnącza zielonych widłaków, a na suchszych polankach i porębach sterczały obumarłe, zeszłoroczne jeszcze wrzosy, pozbawione zieloności i życia.

ronożnych obywateli-podatników nie była wyłącznym motywem podjętej akcji.

Ponieważ zmysł orjentacji, takt i kultura „funkcjonarjuszy" odpowiadały w zupełności rodzajowi zajęcia, miasto otrzymało gratis przedstawienia, jakich mogłaby pozazdrościć każda stolica.

O każdej porze, wśród tłumu publiczności, na najwięcej „reprezentacyjnych" placach i ulicach odbywały się harce niebywałe. W zapale gonitwy „funkcjonarjusze" rozbijali przechodniów, przewracali dzieci, mocowali się z kobietami, wydzierając im pieski pokojowe, niesione na rękach i t. p. i t. p. Nie pomagały magistrackie medale na szyi psa, ani protesty właścicieli, gotowych płacić grzywny natychmiast. Pies, odwieczny „winowajca", musiał przejść przez stryk. Młodzież szkolna miała przygodne lekcje poglądowe, jak stosuje się w praktyce, zalecaną przez nauczyciela „dobroć dla zwierząt" i jak nagradza „najwierniejszego przyjaciela" pan stworzenia, człowiek.

Terenem polowań, najchętniej nawiedzanym, było śródmieście, gdzie publiczność była potulniejszą i okup częstszy. Mniej udzielali się pp. „funkcjonarjusze" dzielnicom podmiejskim i przedmieściom. Psów bez znaczków, podejrzanych było tam wprawdzie więcej znacznie, ale były to wyłącznie psy ubogie, mogące płacić życiem tylko i skórą. Lud pracujący za to, w dzielnicach tych zamieszkały, umiał protestować, a nawet skłonny był protesty swe popierać siłą. Wielkiemu taktowi tylko i rozwadze policji przypisać należy, że do zatargów krwawych nie dochodziło znacznie częściej.

Wojnę władz miejskich z psami przytoczyłem szczegółowo, może przydługo trochę, ponieważ maluje ona dobrze oficjalny, urzędowy niejako, pogląd na stosunek człowieka do „przyjaciela" swego psa. Zbytecznem byłoby dowodzić, że smutniej jeszcze, jeśli to możliwe, przedstawia się stosunek nieurzędowy, t. j. sposób, w jaki odnosi się do bezbronnego stworzenia i do wiernego sługi — szeroki ogół.

W żadnej innej dziedzinie bodaj, na żadnem innem polu, wolny od maski charakter człowieka nie uwydatnia się tak wyraziście, jak w jego stosunku do psa.

Kto zna głęboki podkład natury ludzkiej, ten dziwić się nie będzie. Wszak nie między psami, a między ludźmi rekrutuje się, gdzie na to pozwalają okoliczności, personel „czrezwyczajek".

Swego czasu w pewnych kołach, głośną była sprawa robotnika, który w cegielni, ot tak, z figlów, wrzucił żywego, zdrowego psa, do rozpalonego pieca. Czy nie dosyć, czy potrzeba więcej!

Najpobłażliwsi, najwyrozumialsi nie zaprzeczą, że dzieje współżycia dwóch tych „przyjaciół", człowieka i psa, do jasnych kart historji rodu ludzkiego nie należą, u nas zwłaszcza.

Skala uczuć, kierujących człowiekiem w pożyciu jego z psem równie jest rozległą, jak wielkiemi bywają różnice charakteru, poziomu kultury i wrażliwości jednostek ludzkich. Ile jednostek, tyle tonów i odcieni, w obchodzeniu się z psem. Tak jest, bo być inaczej nie może.

Ustawiczne obcowanie, swoiste cechy, właściwe naturze psa, a nadewszystko jego zupełna zależność od człowieka sprawiły, że stosunek obu tych istot i, co za tem idzie, los psa, wiernem jest odbiciem, moralnym radjogramem niejako charakteru i kultury, a nawet przejściowych nastrojów jego pana — człowieka.

Nie sięgając do przykładów brutalnej bezwzględności i wyrafinowanego okrucieństwa, ofiarą których nieszczęśliwe stworzenie pada często, ileż razy pokorny, bezbronny pies cierpieć musi za bezmyślność, swawolę a nawet, bo i to zdarza się niestety, za zły humor swego pana. Karconym bywa za brudne łapy po spacerze z własnym panem, karconym jeżeli pojawi się nie w porę, choć za to samo pieszczonym bywa często, karconym, jeżeli na polowaniu chybi myśliwy.

Ba! Karconym bywa nieraz, jeżeli rozumu nie wykaże ludzkiego i karconym, surowiej jeszcze, jeżeli rozum wykaże większy niż pan. W bezmyślnej a szczerej, po-

---

Janka posuwała się wolno, rozglądając się uważnie dokoła. Jakaś niewysłowiona radość zalała jej serce. Chciało się jej śpiewać, weselić się razem z ptakami, chciało się upaść na darń zieloną, a ukrywszy twarz w łanie barwnego kwiecia — chłonąć jego subtelny zapach. Porzuciła wkrótce ścieżkę i zagłębiła się w gąszcz brzezinowych zagajników — siedziby licznych lęgowych słonek, siedzących już obecnie na jajach, podczas, gdy osamotnione samczyki ciągnęły jeszcze niekiedy o zmierzchu, przypominając przeżyte niedawno chwile przy boku ukochanych.

Tymczasem słońce pochyliło się nieco ku zachodowi, świecąc ukośnie przez czuby drzew. Janka zagłębiła się właśnie pomiędzy kępy wzorzystego mchu, porastającego leśne podłoże, kiedy nagle tuż obok z cichem furknięciem porwała się słonka. Dzieweczka dostrzegła w małem zagłębieniu cztery jajka, białawe, oliwkowo upstrzone, ułożone ostremi czubkami do wewnątrz w formie pięknej gwiazdki. Uśmiechnęła się radośnie na widok tego przyszłego życia i ruszyła dalej, kierując się ku domowi.

Zrzedły wyniosłe pnie młodych brzózek, ustępując miejsca zrzadka rozrzuconym krzakom łozy, okrytej srebrzącem się u spodu listowiem. Grunt pod nogami stawał się coraz bardziej namokły, przechodząc już dalej w otwarty, trawiasty moczar, środkiem którego przepływał wartki strumień. Brzegi tej strugi porastały bujnie kwitnące niezapominajki, tworzące dwa długie, niebieszczące się w słońcu pasma, wygięte fantazyjnie w miarę skrętów i zawrotów biegnącej wody.

Janka, skacząc po wystających kępach, skierowała się naprzełaj w stronę widniejącego w oddali dworu, którego siwe, gontem kryte zabudowania, wyłaniały się nieśmiało z pośród zieleni starego ogrodu. Dochodziła do strumienia, gdy naraz załopotały głośno skrzydła i piękny, zielonogłowy kaczor wzniósł się w powietrze z trwo-

tocznej ludzkiej gwarze, nazywa się to wdzięcznie: „spędzić zły humor na psie".

Na drugim krańcu skali, jak gdyby na przeciwległym biegunie losów psa, dzieje mu się lepiej trochę. Spotykamy tam, nierównie mniej liczne zresztą, charaktery ludzkie innego pokroju, wyższego zwykle poziomu, więcej wrażliwe na zjawiska otaczającego je świata i nieobojętne na głos sumienia.

Sprawiedliwe z natury jednostki ludzkie, do kategorji tej należące, pojmując całą brutalność i okrucieństwo, jakiemi, tak często, odpłaca człowiek za wierność i za przywiązanie psa, współczują bezbronnej istocie żywo i, odruchowo, instynktownie ulżyć pragnęłyby doli nieszczęśliwego stworzenia, według sił, wynagradzając doznawane tak niesprawiedliwie krzywdy. Jeżeli charaktery takie upośledzone są na domiar kalectwem t. zw. „dobrego serca", współczucie i sympatja dla pokrzywdzonego, zamieniają się łatwo w uczucie, z egzaltacją graniczącego przywiązania człowieka do psa. Przywiązanie ze źródła tego pochodzące, pies, jak gdyby odgadywał serce człowieka, odpłaca z nawiązką.

Złe albo dobre obchodzenie się ze zwierzętami, a więc, przedewszystkiem, z najbliższym człowiekowi psem, zależnem jest nie tyle od charakteru danego narodu, ile od poziomu jego cywilizacji, t. j. od stopnia, w jakim rozwinięte w nim jest poczucie sprawiedliwości wobec słabszych i poszanowanie, niezapisanych w kodeksie, praw sumienia. Fakt ten, zdaje się, wątpliwości nie podlega. Weźmy jako przykład wielkie cywilizacje Zachodu: Anglję, Francję, Szwajcarję, a dalej nie mniej wysoko stojącą Północ: Danję i Skandynawję. W krajach tych, potępione surowo przez obyczaj, krzywdzenie zwierzęcia zakwalifikowane jest pozatem, jako zwykłe przestępstwo, za które karę nakłada kodeks.

Człowiek cywilizowany nie znosi widoku cierpienia i nie sprawia go lekkomyślnie.

Jest to zresztą szczere ujęcie zasady tylko: „nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło". Ale sięgnijmy głębiej jeszcze. Wielkie religje całe, stare religje wyznawane przez setki miljonów wiernych i podwaliną będące wielkich cywilizacji, wprost nakazują: opiekę nad zwierzęciem i poszanowanie jego praw. Poczucie więc sprawiedliwości w stosunku do zwierząt nie jest pojęciem nowem; tli się w każdem sumieniu, a tylko zbudzić je i rozwinąć trzeba.

Z krajów bliższych nam i lepiej znanych, Anglja ziemią jest obiecaną dla wszelkiego żywego stworzenia. Można odmówić Anglikom, jako narodowi, cech zbiorowej uczciwości i etyki w stosunku do bliźnich, ale przyznać im trzeba wysoko rozwinięty zmysł rozumienia życia, jego zjawisk i umiejętności wydobywania ze zjawisk tych maximum korzyści i zadowolenia dla człowieka i dla jego otoczenia. Stosunek człowieka do zwierzęcia nie jest nigdzie tak dobrym, jak w Anglji, i nigdzie też zwierzę nie odpłaca tego człowiekowi tak hojnie.

Czy nie wzruszającym był pies ulubieniec idący wraz z koniem za trumną Edwarda VII. Cała wielka cywilizacja narodu była w tym obrazie.

U nas inaczej. Tak, u nas zupełnie inaczej! U nas profesor pewien i to profesor uniwersytetu (powojenny) wypisał drukiem w piśmie codziennem i podpisał, tytułów nie pomijając, wyznanie wiary następujące: „Z pewną sympatją spoglądam też na psa, leżącego na stole sekcyjnym w pracowni. Takiemu można już zdjąć kaganiec. Przedtem jednak trzeba się dobrze upewnić, czy jest dokładnie zachloroformowany". Czy potrzebne komentarze! Jeden się nasuwa tylko. Wyraz współczucia dla jego słuchaczy-studentów.

Tak, u nas zupełnie inaczej — psiakrew!

żliwem kwakaniem. Odruchowo strzeliła z przyrzutu, prawie nie celując, a ptak skoziołkował, wpadając z powrotem w przybrzeżną trawę. Rozradowana udatnym strzałem, pobiegła ku niemu, nie zważając na kałuże płytkiej wody, rozpryskującej się pod jej stopami. Wreszcie ujrzała swą zdobyz i jednym susem znalazła się przy niej. Ale twarz jej, rozjaśniona uśmiehem — nagle spoważniała.

Kaczor zastrzelony na tak bliską odległość, poraniony straszliwie nabojem śrutu, upadł na kępę przepięknych niezapominajek, obryzgując je obficie krwią. I ta purpura krwi na modrych jak niebiosa, nieskazitelnie czystych kwiatach, była przykrym zgrzytem dla wrażliwej na wszelkie piękno duszy dziewczęcia. Kwiaty i krew — jak niewinność i zbrodnia...

W przystępie jakiegoś nieuzasadnionego, gwałtownego gniewu, zmiażdżyła okrwawioną kępę i zabrawszy kaczora, szybkim zdecydowanym krokiem udała się w stronę domu.

Podczas wakacyj letnich spotkałem ją znowu na łowach wśród młodych zagajników. Ale nie miała już ze sobą strzelby. Na wąskim rzemyku, przewieszony przez ramię, zwisał futerał aparatu fotograficznego.



KAZIMIERZ WODZICKI

Przez Puszczę Białowieską ze strzelbą, lupą i objektywem

III. Rezerwat i Żubry

Dziwnie prędko leci czas w puszczy. Przebywając w niej, jest się niemal zupełnie oderwanym od codziennych kłopotów i radości a całość myśli i życia jest wypełniona życiem głównie na łonie przyrody, tembardziej, że najlepsze dla dodatkowego odpoczynku dla głuszcowych myśliwych chwile, spędzić należało ze skalpelem w ręku i z objektywem przy oku. Ledwie je skończywszy, na porę zapadów namiętnie podążałem. —



Wiosenny zalew rzeki Leśnej w rezerwacie Białowieża 1932. — Fot. Dr K. Wodzicki

O ileż inny był mszar „Sawiczego Mochu" w świetle promiennem chłodnego zachodu, rozegranego wielką wiosenną pieśnią kończącego się dnia. Przelatujące czarne bociany i żórawie przy wzmożonym koncercie drozdów i kosów, akompanjowanym innymi mniej utalentowanymi śpiewakami, jak pojękiem dzięcioła, lub chrapnięciem ciągnącej parki słonek. Oto cudowne milieu dla siedzącego w ciszy na zmurszałym wykrocie myśliwego, zasłuchanego w te dziwne głosy puszczy i „zasadzającego" śpiewaki na ranek jutrzejszy. Szczególniej ten kontrast lasu drzemiącego jeszcze jakby w półśnie zimowym, przy pełnym rozkwicie wiosny ptasiej, jest jedynym chyba poza górami nie do spotkania gdzieindziej.

Lecz czas płynął, trzeba było powracać do życia codziennego, czas był dziękować gościnnemu Gospodarzowi za pobyt i całą pomoc, jakiej mi nie szczędził i dokonać ostatniego punktu programu, przedostać się do serca puszczy poprzez Białowieżę, do żubrów, których byłem niezwykle ciekawy, może bardziej z punktu widzenia przyrodniczego, jak ten jedyny w swoim rodzaju eksperyment wygląda naprawdę, nie w świetle pocieszających nas na temat żubra i jego przyszłości opisów.

Droga z Browska do Białowieży prowadzi przez cały szereg nadleśnictw i w pobliżu rezerwatu, któremu również będąc już w Białowieży, warto było się przyglądnąć, i to z innej strony, aniżeli się to zwykle czyni, przyjechawszy sobie doskonałą automobilową szosą Białystok—Białowieża, zachowującej pod tym względem jeszcze dawne rosyjskie tradycje, pod względem jej utrzymania. Drogę tę wybrałem umyślnie, mimo, iż można było mieć do dyspozycji drezynę, by zetknąć się bliżej z partjami puszczy mniej tkniętemi przez człowieka.

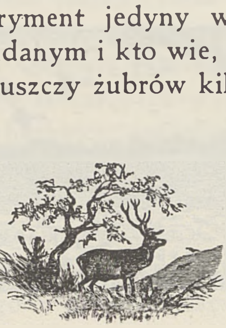
Wczesnym rankiem a raczej późną nocą, powierzam się instynktowi kolebkowatej bryczki. Droga prowadzi początkowo przez wioski, opasane lasami i mokradłami z jednej a brzegiem Narwi z drugiej strony. Snać są to miejsca, do których przeniknął człowiek już bardzo dawno, gdy próbował kolonizować puszczę. Nie bardzo mu się to udawało, jak sądzić z nadzwyczaj mizernych, wąskich pól i arcymokrawych łąk. Wreszcie w okolicy Czoła, wnikamy już w puszczę z powrotem, by jechać nią do samej niemal Białowieży. Ongiś osada niemiecka, wysiedlona z pod samej puszczy gdzieś ponad Don. — Gęsta kilkudziesięcioletnia kultura świerkowa porasta dawną wieś, a tylko samotne gniazdo bocianie, w pobliżu cmentarzyka, w którym widać jeszcze resztki pomników, świadczy, że tu był kiedyś człowiek, poszedł i wnet las zasnuje odwieczną przędzą wszystkie jego ślady. — Lecz oto szyny kolejki niemieckiej budowy. Wokół, jak wszędzie, stosy drzewa materjałowego, z lekka dobrze już poczerniałego, terpentyniarnia i inne placówki walki człowieka z borem odwiecznym, powiedzmy inaczej, objawów kryzysu ogarniającego całą Polskę z Europą, ale na którym las cierpi, tak, że uderza to oko podróżnika. A takby się chciało by choć ta jedyna w Europie puszcza choć trochę oszczędzaną być mogła. Cięcia przeprowadzane, szczególniej w sposób niefachowy za b. rządów sławnej firmy „Century" w różnych odstępach równocześnie mają ten jeszcze skutek, iż, jak mnie informowali krajowcy, zwierzyna płoszona wciąż kręceniem się ludzi po lesie, od szeregu lat powojennych nie powiększa się, jakby tego należało się spodziewać przy administracji, pozatem sprawnej i prawdopodobnie doskonale zorganizowanej. Lecz oto obok drogi przestrzeń rezerwatu ciągnącego się od rzeczki Leśnej do samego pałacyku Białowieży. Urok widocznie od lat nietykanego ostępu jest duży. Bezwzględnie dużą zasługę ma prof. Dr. W. Szafer, jako delegat Państwowej Rady Ochrony Przyrody za wywalczenie choćby tego sporego odcinka, który naprawdę jest tem, co laik wyobraża sobie jako puszczę z pruchniejącem drewnem wykrotów, zarastającemi linjami oddziałów. Razi płot z drutów kolczastych, otaczający część rezerwatu. Jak mnie informują tubylcy, podobno sarny i jelenie wcale nie chcą respektować tych granic matecznika, lecz przeskakując, doznają

poważnych obrażeń zewnętrznych. Dziwić się należy, że płot ten nie jest zrobiony z drzewa, które, szczególniej podlejszych gatunków, leży niezużyte i gnije w puszczy.

Przejazd przez puszczę odbywał się również z „hakiem", t. j. ilość kilometrów okazała się znacznie większą, tak, że bardzo spóźnieni przybywamy do samej Białowieży, sprawiającej zawód przybyszowi ogromną przestrzenią (podobno ostatniemi laty znacznie powiększoną) wydartą lasom i dymem przemysłu drzewnego, kwitnącego na olbrzymią skalę w Białowieży i Hajnówce.

Uprzejmość zastępcy dyrektora lasów jednak daje do dyspozycji mojej szybki pojazd, którym w niespełna pół godziny przebywamy przestrzeń około 10 km, dzielącą dyrekcję od nadleśnictwa zwierzynieckiego, mającego pod swoim zarządem żubry. Uprzejmy towarzysz, zastępca nadleśniczego, objaśnia szczegółowo warunki, w jakich żyją w tej chwili żubry i pochodzenie poszczególnych sztuk, znane z poprzednich opisów w prasie łowieckiej. Smutne wrażenie, jakie sprawia wysoki trzymetrowy parkan odgradzający 22 ha przestrzeń, w której żyje obecnie 11 sztuk żubrów, zaciera się z chwilą, gdy widzi się, że żubry mają tu nie najgorsze warunki; zdziczały trochę i jak mnie informuje jeden ze strażników, są na dalszej pomyślnej drodze do rozmnażania się, gdyż 4 matki, które w z. r. rzuciły po cielaku, znów są w ciąży. Przyglądam się bykowi-ojcu i przywódcy stada, który trzyma się zdala od krów i młodzieży. — W chwilę jednak rusza spokojnym krokiem ku reszcie stadka, pasącego się na mizerną trawką pokrytej łączce. Oto młodzież igrając, zaczyna pojmować zabawę zbyt poważnie: słychać z odległości kilkudziesięciu kroków, jak dwoje z tej młodzieży wali się z całej siły rogami. Jedno fuknięcie z podniesionym na wszelki wypadek ogonem pojedynka, sprawia, iż całe towarzystwo rezygnuje z zabawy i czemprędzej rozchodzi się.

I w tej rzeczy są pewne ale. Do nich zaliczę w pierwszym rzędzie ciasnotę zwierzyńca: 22 ha na 11 sztuk ogromnego bydła, to cokolwiek zamało, uderza to zresztą nie tylko oko hodowcy, lecz każdego laika. Podobno mają w tym roku dwukrotnie je powiększyć, a spełnienia tego zamiaru, należy jak najgoręcej życzyć. Poza tem zbyt intensywnie są żubry żywione, przynajmniej, jeśli się przypomni ryciny oglądane w Brehmie. — Wreszcie jeden stary byk, podobno już bez zębów, mógłby znaleźć — jak byk pszczyński — jakiegoś amatora tego rodzaju strzałów, by powędrować do któregoś z naszych muzeów. Reasumując wrażenia, wydaje się, że ten eksperyment, o którego początku tak ładnie pisał ś. p. Ejsmond, eksperyment jedyny w swoim rodzaju, może być zupełnie udanym i kto wie, czy za lat kilkanaście, nie będzie w puszczy żubrów kilkadziesiąt.



ARTUR GROETSCHEL

Ciekawy szczegół z życia kszyka

(Gallinago gallinago)

Przez długie lata toczyła się zawzięta walka na łamach niemieckich pism ornitologicznych i łowieckich w sprawie t. zw. „bębnienia" względnie „beczenia" kszyka — (Meckern der Bekassine), t. j. głosu, jaki samiec bekasa wydaje w czasie lotu miłosnego (Balzflug) z wiosną na miejscach lęgowych.

Jedni bowiem twierdzili, że głos ten pochodzi z krtani ptaka — drudzy, że powstaje przez drganie lotek — inni znów — że wskutek wibracji sterówek.

Mimo, że przytaczano cały szereg spostrzeżeń i argumentów, które miały przemawiać za jedną lub drugą tezą, trudno było wykazać faktyczny stan rzeczy.

Robiono nawet próby z rozpiętemi sztywnie piórami skrzydeł lub ogona kszyka — wprawiając je w gwałtowny ruch, naśladujący lot bekasa.

Próby te przeważnie nie dały dobrych rezultatów — prócz doświadczeń B. Altuma, profesora zoologji w Akademji leśnej w Eberswalde. Ten ostatni bowiem, rozpiętemi na drucie piórami z ogona krzyka, miał łudząco naśladować wspomniany wyżej głos.

Wkońcu spór ten zdaje się znużył strony walczące — nie dawszy bezwzględnych wyników. Większość jednak dzisiejszych ornitologów i doświadczeńszych myśliwych jest przekonana, że beczący głos kszyka pochodzi nie z gardzieli tego ptaka, lecz wskutek drżenia lotek wzgl. sterówek w czasie jego gwałtownego opadania w dół.

Ponieważ w moich młodych latach spędziłem dłuższy okres czasu w rozległych lasach północno-wschodniej Małopolski, które obfitowały w liczne bagna i torfiaste, podmokłe łąki — gdzie kszyk stale i w dużej ilości się gnieździł — ponieważ przemaszerowałem ze strzelbą na ramieniu na przestrzeni kilku mil rozległe moczary i wszystkie małe bagienka leśne i przesiedziałem ze szkłami w ręku niejeden wschód i zachód słońca na błotach leśnych — a specjalnie często obserwowałem kszyka w czasie jego lotu miłosnego — przeto pozwolę sobie zapodać poniżej szczególnie ciekawą obserwację z życia tego coraz mniej licznego — lecz bardzo interesującego ptaka.

Gdy w kwietniu 1907 r., siedząc w budce z gałęzi sosnowych na podmokłej łące leśnej, tuż obok dwu bagien — wyczekiwałem na zbliżenie się tokujących nieopodal cietrzewi — nad głową moją — jeszcze przed nastaniem dnia, zataczał kręgi kszyk, pobekując często.

Słońce zeszło, koguty posunęły się daleko poza odległość strzału, podjąłem szkła w rękę i pilnie śledziłem grającego wysoko nad moją głową bekasa.

Zrazu nie zauważyłem w miłosnym locie tego ptaka nic szczególnego. Wzbijał się w górę, by spadać skosem przy wydawaniu znanego głosu beczącego.

Gdy jednak idąc wciąż szkłami za żwawo uwijającym się kszykiem, obserwowałem pilnie jego uderzenia w dół — ptak ten, sprawił mi niebywałą niespodziankę:

Bo oto w momencie, gdy osiągnął najwyższy punkt wzlotu w górę — zamiast opuścić się skosem w dół, jak to czyni zwykle, gwałtownym rzutem obrócił się o 180 stopni tak, że brzuch i pierś jego do sklepienia niebios, a grzbiet ku ziemi skosem skierował i trzymając całe ciało w napiętej, sztywnej pozycji, spadł kilkanaście metrów skośnie w dół z wyprężonemi skrzydłami, nie wydając przytem żadnego tonu.

Tak bawił się ten mistrz lotu przez czas dłuższy, powtarzając gwałtowne spady w dół raz w pozycji zwykłej, a wtedy zawsze z „bekaniem" — to znów w wyżej opisanej, z rozpostartemi nieruchomo skrzydłami — przyczem nie wydawał żadnego głosu.

Napatrzywszy się dowoli temu niecodziennemu widowisku, opuściłem swój punkt obserwacyjny — a wkrótce, musiałem na dłużej wyjechać z danej okolicy.

Kiedy z wiosną 1908 roku przybyłem ponownie przed świtaniem na pomienioną wyżej łąkę leśną, niebawem uszu moich doszedł głos „bębniącego" kszyka.

Rzecz prosta, że niecierpliwie oczekiwałem brzasku dnia, lecz mało miałem nadziei — bym mógł znów ucieszyć się widokiem dawnego znajomego.

Jakoż, gdy słońce przez korony starych sosen — rzuciło jasne, życiodajne promienie na szronem okryte moczary — podniosłem szkła i szukałem nad sobą ptaka, który w górze nad bagienkiem zataczał swój tan miłosny. — Dreszcz przeszedł przez moje ciało: oto przed memi oczyma był mój znajomy z roku 1907 — mistrz lotu w rodzinie bekasiej.

Usiadłszy tedy na najbliższym pniaku sosnowym, długo wodziłem szkłami za bystrym latawcem, którego pierś, jak w roku ubiegłym, upojona miłością, dziarsko i wspaniale poruszała się w przestworzu — jego zabawy lotne były zupełnie te same — co w roku poprzednim.

Los nie dozwolił mi dłużej pozostawać w tej części kraju — stąd musiałem się rozstać na zawsze z obserwowanym bekasem.

Spostrzeżenie powyższe, niezwykle ciekawe samo przez się, nasuwa mi na myśl pewne dalsze wnioski. — Już oddawna znany fakt, że kszyk wydaje ton beczący tylko w jednej pozycji lotu, t. j. gdy skosem opuszcza się w dół — byłby niemal dowodem, że głos ten nie pochodzi z krtani tego ptaka.

Powiadam, iż jest to prawie dowodem, wykluczonem bowiem nie jest, że dany ptak, który w podnieceniu miłosnem wydaje z gardła pewien charakterystyczny głos — czyni to tylko w pewnej sciśle określonej pozie. To np. obserwować można u tokujących cietrzewi itp., w locie zaś, u świergotki leśnej (Anthus trivialis), która z wiosną nucąc swą miłą piosenkę, wznosi się ostro w górę — by skosem spaść ku ziemi lub na gałązkę krzewu w bardzo charakterystycznej — zawsze tej samej postawie, przypominającej poniekąd atak jastrzębia na swą ofiarę siedzącą na ziemi.

Za tem, że jednak u kszyka pomieniony głos beczący pochodzi z ruchu skrzydeł, a nie z krtani — przemawia ten moment, że ptak ten przy opadaniu w dół w czasie charakterystycznego lotu miłosnego, wykonuje skrzydłami niezwykle szybkie wibrujące ruchy. — Twierdzenie bowiem, że w chwili spadu trzyma skrzydła sztywnie napięte i nieruchome, niezgodne jest z prawdą.

Przygodna moja obserwacja wskazuje zatem, że głos miłosny kszyka nie pochodzi z krtani ptaka, lecz wywołują go silnie i szybko poruszane lotki skrzydeł — przyczem nie jest wykluczone, że i sterówki mogą tu odgrywać pewną rolę. — Gdyby bowiem kszyk wydawał wspomniany wyżej głos w ekstazie miłosnej przy spadaniu w dół — byłby to w opisanym wypadku bezsprzecznie czynił zarówno w pozycji normalnej, jakoteż i w postawie odwróconej. — Tymczasem w tej ostatniej pozycji absolutnie żadnego głosu nie było słychać. — Sprawa ta jest jednak zupełnie jasną, gdy się przyjmie, że „bębnienie" kszyka wywołane jest ruchem skrzydeł. Przy spadaniu normalnem bowiem w dół, wskutek gwałtownego lotu i wibracji lotek szybko poruszanych skrzydeł, słychać charakterystyczne „beczenie" — w pozycji zaś odwróconej — gdy skrzydła ptaka są sztywnie napięte i nie wykonują żadnego ruchu, słychać być musi bezsprzecznie w bliskiej odległości od szybującego ptaka — pewien szum, lecz niepodobna słyszeć charakterystycznego dla kszyka beczenia, gdyż nieporuszane skrzydła nie mogą dać tonu przerywanego. — Zresztą działanie akustyczne musi być odmienne — zależnie od tego, czy gwałtowny prąd powietrza uderza na pokrywy skrzydeł od góry — czy też pod spód skrzydeł, gdyż nietylko forma skrzydeł, ale i ułożenie poszczególnych piór w skrzydle z obu stron jest różne.

Ciekawe jest, czy bekas, którego miałem szczęście obserwować — był dziwnym i oryginalnym wyjątkiem, czy też podobny lot miłosny krzyka był już obserwowany. — Moje poszukiwania w tym kierunku zarówno w ornitologicznej jak i w łowieckiej literaturze nie dały żadnych dodatnich wyników — lecz może były one niewystarczające.

Tu chciałbym jeszcze napomknąć, że miłosny lot i głos kszyka, które na miejscach lęgowych tych ptaków z wiosną są codziennem zjawiskiem, później tylko wyjątkowo dają się spostrzegać.

Beczące kszyki słyszałem i widziałem wyjątkowo w lecie, nawet w połowie lipca.

Wkońcu zaznaczam, że pomieniony głos miłosny kszyka, zdaje się, zjednał mu w polskim języku, także nazwę „bekasa" — lud ruski zwie go w niektórych okolicach „baranec" — zaś w ludowej gwarze niemieckiej znany jest pod nazwą „Himmelsziege lub Haberbock".



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

Osłupienie! — Stoją nad zwłokami bez słów, jakby im mowę odjęło. Nikt z nich — tak jak i ja sam — nie przypuszczali, że lew przesuwając się trawami od strumienia, skąd krzyk usłyszano, wlecze ze sobą człowieka.

Cały zapał, z jakim zerwali się nasi chłopcy przed chwilą do ścigania lwa, znikł jak pod zaklęciem. Przyszło przygnębienie i jakaś zabobonna trwoga ich opadła.

Na nasze wezwania, aby zwłoki zabrali do obozu, nie poruszył się żaden. Milczą. Aż wreszcie na energiczne nalegania, oświadczają, że się boją.

Uspokajamy ich, jak nas stać na to, bo sami jesteśmy tym wypadkiem głęboko przejęci — ale oni tylko oglądają się poza siebie i bezmyślnie powtarzają: on zaraz przyjdzie odebrać swoją zdobycz...

Dopiero po wielu prośbach i przedstawieniach, że nie godzi się pozostawiać towarzysza lwu na pożarcie — zdołaliśmy ich nakłonić, że trupa przetransportowali pod obóz.

Tu dopiero widzimy, jaka nas czeka robota: obóz nie ubezpieczony!

Słońce zachodzi, a panika między ludźmi coraz większa.

Więc łając i krzycząc, wydajemy rozkazy; staramy się ich w ten sposób podtrzymać na duchu.

Gdy K. z tropicielem, najbardziej jeszcze trzeźwym, pilnują jednych, aby ścinali gałęzie i układali zasiek dookoła naszych legowisk, ja z kapitanem karawany szukamy za miejscem, gdzieby zmarłego pochować.

Ściemnia się raptownie, a robota nie idzie. O wykopaniu jakiego, takiego dołka, mowy nie ma. Grunt kamienisty, a narzędzi odpowiednich brak.

Rada w radę, urządzamy grób w inny sposób. Chodzi tylko o to, aby nocą lew do ciała się nie dobrał.

Więc z wydartych z ziemi brył kamiennych układamy nad zwłokami kopiec półmetrowej wysokości, a nałożywszy na to ogromne brzemię suchych gałęzi, roznieca my wielkie ognisko. Wreszcie i barykady z gałęzi gotowe; zamykamy wejście. Wewnątrz przy pięciu ogniskach zasiedli w kucki murzyni. Głowy oparli na kolanach, medytują. Nie zabierają się do gotowania jadła, jeno podsycają ogień, aby było jaśniej, jaśniej w ich strwożonych duszach.

Przyszła noc jak smoła czarna i cisza wprost przerażająca. Tylko ogniki obozowe migocą, tylko jaśnieje poza zasiekiem wielki stos ofiarny, pod którym pieką się zwłoki nieszczęśliwego towarzysza wyprawy.

Siedząc z K. przy herbatce, omawialiśmy cicho całe to zajście. Staraliśmy się rozwikłać zagadkę, w jaki sposób porwanie nastąpiło. Dla wyjaśnienia sprawy wezwaliśmy kapitana Antonia i tropiciela. Okazało się, że po mojem odejściu z obozu, najmłodszy z chłopaków, imieniem Cinganu, którego z powodu częściowej głuchoty nie chciałem brać na wyprawę, poszedł się umyć do strumyka. Mimo, że mógł to uczynić tuż pod obozem, na widoku reszty ludzi, oddalił się o kilkadziesiąt kroków z biegiem wody, usadowił się w dołku pod ścianą traw, skąd go z obozu widzieć nie mogli.

Ponieważ woda w strumieniu sięgała wszędzie zaledwie po kostki, więc, aby zmyć całe ciało, musiał przykucnąć, i w tej pozycji musiał go lew prawdopodobnie dopaść.

Działo się to w czasie, gdy na stoku trawy już dobrze płonęły, a ja schodziłem do strumienia.

Widocznie lew, wypłoszony ogniem, skierował się poza mojemi plecami także w stronę strumyka. Wymykając się pod osłoną pozostałych traw wzdłuż brzegów, naszedł na chłopaka od tyłu. Pociągnięciem łapy za ramię, na co wskazywały rozdrapania, wywrócił go na wznak, a gdy krzyknął, chwycił za gardziel i jął go wlec.

Na ten krzyk wybiegli ze strzelbami trzej chłopcy. Mruczenie lwa i poruszanie się traw, dało im poznać, z kim mają do czynienia. Nie namyślając się wiele, strzelili w tym kierunku, aby lwa odpędzić. Nikogo ze swoich w pobliżu nie dostrzegli. Na to nadbiegli K z resztą uzbrojonych.

Z powodu tego wypadku, miałem znowu przykład — z jednej strony chronicznego niedbalstwa Kafrów tutejszych, z drugiej — panicznego ich ogłupienia i bezradności, gdy się stanie nieszczęście. Zbagatelizowano tu również rozkazy „muzunga“. Bowiem zawsze im było ogłaszane, gdy szli na polowanie, że w czasie obozowania w puszczy, nie wolno im włóczyć się w pojedynkę, zaś idąc po wodę lub na zbiórkę paliwa, mają to czynić w kilku i w asystencji uzbrojonego. W tym celu było zawsze kilka strzelb kabzlowych w karawanie.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz po bardzo niespokojnej nocy — urządziliśmy pogrzeb zmarłemu. Dostał do grobu dwa metry perkalu — jak tego wymagał rytuał — a kopiec zostal podwyższony do wysokości jednego metra, aby jako tako zabezpieczyć resztki, przed wszędobylskiemi hienami.

Potem w szybkim marszu pociągnęliśmy w góry, aby ze względu na grobowy nastrój karawany, jak najprędzej oddalić się od miejsca nieszczęścia.

(C. d. n.)



GÜRTLER WŁADYSŁAW

Kilka wspomnień o moich legawcach*)

Od zarania swoich myśliwskich poczynań żywiłem zawsze ambicję posiadania dobrego wyżła, a że marze= nie to można było dość łatwo urzeczywistnić, przeto prawie ani przez jeden sezon, wyjąwszy lata wojenne, nie brakło mi czworonogiego przyjaciela.

Naogół mogę stwierdzić, że miałem do psów szczę= ście... Otrzymywałem zazwyczaj psy młode, niekiedy zu= pełnie surowe, ale zawsze wysokiej rasy, które prowa= dzone przezemnie i kształcone w polu praktycznie, roz= wijały świetnie swoje wrodzone zdolności i stawały się dla mnie niezbędną pomocą podczas moich różnorod= nych wypraw myśliwskich.

Dobierałem sobie oczywiście psy łagodne, powolne i inteligentne.

Egzemplarze, których temperamentu nawet po dłuż= szych zabiegach nie mogłem opanować, zwracałem co rychlej dawnemu właścicielowi. Ale takich wypadków nie było wiele.

Od psa = nowicjusza żądałem dwu warunków: posłu= szeństwa i dobrego nosa. Wykształciwszy następnie karność i chęć do aportowania, dysponowałem już psa= mi dowolnie.

Przez okres czasu 32=letni, bo mniej więcej około ro= ku 1900 zacząłem samodzielnie i po myśliwsku polo= wać, przesunęły się przez moje ręce psy różnych ras: krótkowłose=niemcy, długowłose=setery czeskie**), gor= don=setery i pointery.

Wszystkie były doskonałe, o niezwykłych zaletach, usłużne i wierne aż do śmierci. Nigdy bowiem wyżłów moich nie mieniałem, ani nie sprzedawałem, a nawet gdy niektórym z nich starość osrebrzyła skronie i brwi, trzy= małem je na łaskawym chlebie, nie szczędząc im czasem wymówek i wymyślań od starych darmozjadów i dur= niów...

Stąd psów w ciągu tego długiego czasu było u mnie nie wiele: T r e f (niemiec), L o r d (seter), L o r d (gor= don=seter), E r o s (niemiec), D i a n a (pointerka) i K i n g (pointer).

Z wyjątkiem L o r d a (gordon=setera), którego nie mogłem żadną miarą opanować i którego też oddałem czemprędzej i Diany, mało inteligentnej, wszystkie inne były znakomite.

Trefem cieszyłem się niestety krótko. A był to wyżeł pod każdym względem wyborowy. W polu wykazywał węch fenomenalny, każdy ruch jego był celowy, a pra= ca zadziwiająco systematyczna. Przy jego stójce zawsze naprzód już wiedziałem, jaką zwierzynę wystawia. Ina= czej bowiem stawał do kuropatw, w innej pozycji do ba= żantów, znowu inaczej do dubelta, a znów specjalnie do zająca.

Subtelne drgnienie ogona, względnie różnorakie usta= wianie go, inny wyraz „twarzy“, a szczególniej nasta= wianie uszu i postawa odnóży, zarówno przednich jak i tylnych, mówiły mi nieomylnie o gatunku zwierzyny. Chodziłem bywało o nią nawet o zakład z kolegami...

Raz tylko omyliłem się, gdy Tref stanął twardo w za= gonie kukurydzy z równoczesnym cichym piskiem i drganiem nerwowem całego ciała. Skradał się przytem, czaił, postępował krok po kroku, przystawał... Sze= dłem za nim, gotów do strzału...

Doprowadził mnie w ten sposób do leżącego w odle= głości 10 kroków kapitalnego... rogacza!..

Psa wziąłem natychmiast na linewkę, kozła zostawi= łem w spokoju... Dopiero po mojem odejściu zerwał się i pogonił w szalonym galopie przed siebie...

Tref był też mistrzem niezrównanym w wystawianiu dubeltów i bażantów. Można było godzinami zwlekać z podejściem, a pies postawy swojej nie zmieniał. Wa= rował i czekał...

Nigdy też nie ściągał nadaremnie, ani nie stawał omył= kowo lub fałszywie.

Z oczeretów wynosił żywe, nieuszkodzone kaczory= wypióry. Trefem popisywałem się często wobec zapro= szonych myśliwych i to pociągnęło za sobą jego stratę.

Ukradziono mi go po prostu...

O Lordzie, seterze czeskim, który mi służył przez pięć lat, wspomniałem obszerniej w swej książce „Obraz= ki myśliwskie“ (wydanie drugie z r. 1928). Był to ten pies właśnie, który mię doprowadził do wydry i to w ten oryginalny sposób, że mię chwycił zębami za futerko i przywiódł na miejsce jej kryjówki...

Specjalnością jego było chwytanie i aportowanie ży= wych chróścieli. Przy nim rzadko kiedy mogłem strzelić do tych ptaków.

Kaczki postrzelone aportował nawet z pod wody, da= jąc za niemi nurka. Każdego postrzałka znachodził. Wy= nosił je także z marznącej już toni, łamał lód i łup zdo= bywał... Pies ten nie rozumiał wogóle tego, co znaczy nieposłuszeństwo. W następstwie takich trudów i tak twardej szkoły życia, nabawił się wkońcu reumatyzmu i zginął w dwa lata później, zażywając do ostatka łaska= wego chleba.

Tem droższą jest jego pamięć dla mnie, że wiąże się ona i z moją najbujniejszą, beztroską młodością, z ów= czesnym stanem mojej fizycznej sprawności, ze szczę= ściem myśliwskiem i z najlepszemi rezultatami mojej sztuki strzeleckiej, zwłaszcza na stawach bukowińskich, rozlewających swe spokojne wody w pobliżu Zale= szczyk.

Jeszcze znakomitszym i również bardzo umiłowanym, był pies Eros, niemiec jasno=bronzowy, biało nakrapia= ny z delikatną białą strzałką na czole.

W sierpniu r. 1912 otrzymałem go w prezencie od przyjaciela, ś. p. W. Z., mieszkającego podówczas w Komarnie. Sam po niego tam jeździłem.

Przywiózłszy go szczęśliwie do domu, wybrałem się już następnego dnia na kaczki do Kreszczatyku, wsi bukowińskiej, położonej niedaleko. Na polach tej gmi= ny było kilka jeziorek różnej wielkości, rozlanych wśród

---

*) Artykuł niniejszy, nadesłany dnia 9 czerwca, nie mógł być umieszczony w poprzednim numerze ze względów technicznych.

**) Sz. Autor ma prawdopodobnie na myśli wyżły niemieckie długowłose. Rasa seterów czeskich nie istnieje. Red.

łanów kukurydzy i pszenicy. Topniejące, zimowe śniegi i deszcze wiosenne wypełniały wodą naturalne zagłębienia terenu i tworzyły mniejsze lub większe baseny. — W suchych latach woda w nich zwykle wyparowywała.

Przybywszy na największe kilkumorgowe jeziorko, zarośnięte bujnie trzciną i wodorostami, kazałem Erosowi wskoczyć do wody i bobrować. Piszczał, skomlał, ale wejść jakoś nie chciał.

Hołdując swojej, oddawna stosowanej metodzie wychowawczej, nie zmuszania psa młodego, mało jeszcze poznanego, do bezwzględnego wykonania rozkazu a oczekując na inną lepszą sposobność dla dania mu poglądowej lekcji, która zresztą nadarzyć się musiała, począłem obchodzić jeziorko i, nie spędziwszy żadnej kaczki, ukryłem się z psem wśród zarośli na brzegu. — Czekałem na ciągi...

Jakoż niebawem nadleciała starka krzyżówka z sześcioma młodemi. Strzeliłem do stadka à bout portant i spadło kaczek aż cztery do wody.

Pies to widział...

Kazałem mu aportować. Nie chciał... Nie pomogły prośby, zachęty, ani nawet groźby. Wskazywałem mu palcem na leżące na wodzie ptaki, rzucałem w ich kierunku grudki ziemi i patyki, ale i to nie pomogło. Ruszyć z miejsca nie chciał. Być może, że gdyby się była która z nich trzepała, byłby za nią poszedł.

Przeszło mi przez myśl, że się pies wody boi.

Widząc trud daremny, rozebrałem się zupełnie i wskoczyłem do stawu, polecając psu pilnowanie strzelby i ubrania.

„Przynajmniej tyle potrafisz!“, rzuciłem mu na odchodnem. Jakże się jednak omyliłem. Bo ledwie oddaliłem się na kilka kroków od brzegu, pies wszedł za mną do wody, dogonił mnie i płynął tuż obok, tak, że jego gorący oddech czułem na szyi.

Dotarłem do pierwszej kaczki, wziąłem ją do ręki i podałem psu. Chwycił w zęby i niósł. Wobec tego zawróciłem na ląd. Eros popłynął za mną, wyszedł z kaczką na brzeg i położył ją obok ubrania. Na krótką zachętę, ażeby poszedł po drugą, rzucił się bez namysłu do stawu i przyaportował, a następnie trzecią i czwartą. Zanim się ubrałem, miałem już wszystkie kaczki na trokach.

Że przykład cuda działa, przekonałem się wtedy dotaźnie. — Odtąd zmienił się Eros zupełnie. Nie było wprost zadania, któregoby wzorowo nie wykonał.

Widocznie nie ufał mi początkowo, albo mię lekceważył, albo może co innego jeszcze kombinował. Skoro się jednak przekonał, że ma z myśliwym do czynienia, zmienił taktykę i oddał mi siebie całego bez reszty na usługi.

Być także mogło, że należał on do tej kategorji wyżłów, które strzelców-fuszerów opuszczają z miejsca po kilku chybionych strzałach... A są takie mądrale...

W kilka dni później wybrałem się znowu z dwoma jeszcze towarzyszami na kaczki i obstawiliśmy we trójkę wspomniane jeziorka.

Spotkanie miał tylko jeden z nas, mój serdeczny przyjaciel, p. Z. Jeszcze na długo przed zachodem słońca nadleciały na niego krzyżówki. Do oblatujących strzelił na daleki dystans, jako, że nie mógł się opanować i że, co to wiele mówić, zwykle tak robił...

Ze swojego stanowiska widziałem dobrze, że po strzale poczęła jedna kaczka pozostawać coraz bardziej w tyle i że wreszcie spadła w łan kukurydzy w odległości co najmniej 1000 kroków od stawu.

P. Z. tego nie zauważył.

Gdyśmy się wieczorem już o zmierzchu zeszli do czekającego na nas w umówionem miejscu powozu, aby odjechać do domu, tem bardziej, że gwałtownie pociemniało i na deszcz jęło się zanosić, powiedziałem przyjacielowi, że kaczkę zabił i że spadła daleko w kukurudzę. Nie chciał wierzyć i proponował odjazd.

Sprzeciwiłem się temu, dowodząc, że bez kaczki nie odjedziemy. — Przekonamy się zresztą, co Eros potrafi, niechaj za zgubą poszuka! — Dom nam i tak nie ucieknie — zawyrokowałem.

Kazałem tedy zejść psu z powozu, bo się już był na nim wygodnie położył i wskazawszy kierunek, posłałem w drogę. Poszedł bez namysłu.

Przyjaciele moi twierdzili przekonywująco, że pies kaczki absolutnie nie znajdzie i nie przyniesie, i że może się nawet zabłąkać i przepaść.

Nic na to nie odpowiadałem.

Tymczasem mijały długie chwile... Czyżby Eros miał zawieść? Zwątpienie i mnie ogarniać poczynało.

Popatrzyłem przy świetle zapałki na zegarek. Upłynęło już 10 minut. O psu ani słychu, a tu deszcz rozpadał się na dobre.

Zaniepokojony zszedłem z powozu i zacząłem rozpaczliwie gwizdać. Poza szelestem liści kukurydzy, poruszanych dość żwawym podmuchem wiatru, poza szmerem kropel deszczu, uderzających monotonnie o baldachy łopianu, nic nie słyszałem. Więc znowu świsnąłem głośno, tym razem na palcach.

Naraz w przerwie między jednem gwizdnięciem, a następnem, wyłowiłem uchem coś, jakby dalekie, miarowe uderzanie czemś twardem po badylach kukurydzy. Nadzieja we mnie wstąpiła... Pogłos stawał się wyraźniejszy i zbliżał się widocznie...

I za chwilę, niezapomnianą chyba do końca życia, wyłonił się z ciemności tuż u nóg moich, kochany, drogi, niezrównany przyjaciel z kaczorem w pysku... Ucałowałem go za to.

Wyczyn Erosa mówi sam za siebie. Zaimponował nam wszystkim. To był pies, co się nazywa ... First classe.

Ale i nim nie cieszyłem się długo. Wybuchła Wielka Wojna. Powołany telegraficznie do szeregów, zostawiłem psa-przyjaciela na stróżowaniu przy rodzinie.

Opowiadała mi później żona, że po moim wyjeździe chodził przez kilka dni jak błędny, szukał za mną po całych Zaleszczykach, pokarmu nie przyjmował i wreszcie gdzieś się podział.

Być może, że powędrował z jakimś oddziałem wojskowym na obczyznę, albo zginął w cudzej stronie z głodu i tęsknoty.

Po stracie takiego psa można oszaleć, można na jego grobie pomnik postawić!

Dziw, że pies, ale tylko myśliwski, może serce myśliwego tak ogromnie ze sobą związać. W węzeł wieczysty! Tem bardziej, że niektóre jego zalety, jak bezinteresowność, przebaczanie uraz, przywiązanie i poświęcenie bez granic, stawiają go wysoko nawet ponad ludzi...

Pamięci wiernego druha, Erosa, wspomnienie to poświęcam.

Natomiast o pointerce Dianie nie piszę, gdyż posiadałem ją, jak już wspomniałem, krótko. Zginęła mi gdzieś podczas zawieruchy bolszewickiej. Cechował ją zresztą nieokiełznany temperament i jak się zdawało, bezplanowa robota w polu.

Teraźniejszy mój pies, King, pointer rasowy biało-żółty, jest już dziś staruszkiem. Urodzony na wiosnę r. 1921 w Rzeszowie, skończył właśnie lat jedenaście. A że forsowałem nim porządnie i ciężką miał u mnie służbę, jest naprawdę już dość niedołężny.

Temperament miał w młodości ogromny, samodzielność w szukaniu bajeczną, siły niespożyte, formę stylową, a przytem... w domu flegmę iście angielską. I dziś jeszcze ożywia się, gdy zobaczy, że czyszczę strzelbę lub porządkuję myśliwski rynsztunek.

A chociaż jest już nieco głuchy i trochę cierpi na oczy, węchem dysponuje nadal niezrównanie. Do kuropatw doprowadza na blisko, kładąc się przed niemi na brzuchu.

Wystawia twardo tak stada, jak i pojedyńcze sztuki. Strzelone dobrze aportuje, barczone jednak dusi, czego osobiście nie lubię.

Do wody idzie bardzo chętnie, co u pointerów bywa rzadkością i każdą strzeloną kaczkę przynosi.

W zeszłym np. roku wyłapał i wyniósł z szuwarów całą rodzinę wodnych kurek, z 5-ciu sztuk złożoną.

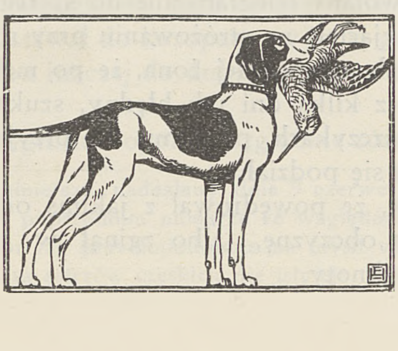
Zające wywierają na niego zawsze wpływ szczególniejszy, dlatego aczkolwiek za niemi nie goni, stara się jednak później choćby kilkanaście kroków pogalopować po ich tropie.

Jest także uparty.

Jeśli idzie o nos, są pointery jedyne, w stylu szukania klasyczne, żywiołowy atoli temperament obniża ogromnie te naturalne ich zalety.

Jeszcze jedna uwaga:

Rózgi na polowaniach z zasady nie używam, pointer jednak na karę zasługuje. Skarcony, zapomina wnet o niej i dalej po swojemu namiętnie szuka i tak się zawsze śpieszy, że się nawet na myśliwego nie ogląda... Dlatego bywa niedokładny.



A. ULM

Ogólno polska wystawa i targ psów rasowych przy XII Targach wschodnich we Lwowie

W dniach 24, 25 i 26 czerwca b. r. urządzono przy Targach Wschodnich we Lwowie wystawę i targ psów rasowych.

Wyłoniony dla urządzenia tej wystawy pod protektoratem Prezydenta m. Lwowa JWP. Wacława Drojanowskiego Komitet z JWP. Albertem Mniszkiem wiceprezesem M. T. Ł. i redaktorem „Łowca", a znanym miłośnikiem i znawcą psów na czele, miał przy organizacji tej wystawy wielkie trudności do przezwyciężenia. Przedewszystkiem nie istnieje już w Małopolsce od czasów wojny światowej żadne Towarzystwo chowu psów rasowych czy myśliwskich, na którem by mógł się komitet oprzeć. Nie znano obecnych hodowców, miłośników i posiadaczy psów rasowych, aby ich wystawą zainteresować. Wystosowane listy częstokroć nie dostawały się do rąk adresatów już zmarłych lub przesiedlonych. — Uwzględniając te trudności, wystawę przecież uważać należy za udaną, gdyż pozwoliła zorjentować się w posiadanym materjale psów, budząc zainteresowanie tak w kołach hodowców, jak też i w kołach miłośników psów i najszerszej publiczności, czego dowodem były tłumy zwiedzających wystawę.

Przystępując do opisu tej wystawy, zacząć wypada od tego, co było na wystawie najciekawsze a zarazem najwięcej wartościowe, to jest od wystawy polskiej książki kynologicznej. Urządzenie tej jedynej może na świecie wystawy zawdzięczamy znanemu bibljofilowi i myśliwemu, członkowi Wydziału M. T. Ł., prof. W. Ziembickiemu. — On to zdołał w ciągu krótkiego czasu dokonać wspaniałego dzieła, zebrania najstarszych i najciekawszych egzemplarzy książek traktujących o psie. „Wystawa polskiej książki kynologicznej" — pisze prof. Ziembicki we wstępie do katalogu wystawy książki — „jest przedsięwzięciem pierwszem w swoim rodzaju". Jak z tego katalogu widzimy, pochodzą najstarsze książki ze zbiorów prof. Ziembickiego, jak: Crescentyna Piotra księgi o gospodarstwie z roku 1549, Siennika Marcina herbarz z roku 1562, traktat o psie z drzeworytem, oryginał drugiego wydania Ostroroga: Myślistwo z ogary z roku 1649 i wiele innych, jak słynna historja naturalna z roku 1652. Książki wypożyczone ponadto z bibljotek lwowskich, ułożone według wieków a dopiero z najnowszych czasów według grup rzeczowych wykazano w pięknie wydanym katalogu, który stanowić będzie cenny nabytek w bibljotece każdego dobrego myśliwego a również w bibljotekach publicznych, ciekawy okaz naszej literatury kynologicznej. Nie wiele chyba narodów poszczycić się może taką wystawą, którą tylko zawdzięczamy temu, że posiadamy w jednej osobie tak zamiłowanego bibljofila, myśliwego i miłośnika psów, jakim jest prof. Ziembicki.

Za pokojem wystawy książki o psie, pomieszczono preparaty z zakresu anatomji i patologji psa z zakładów Akademji medycyny weterynaryjnej. Stajemy wobec okazów, których zwyczajny laik nie rozumie, więc prosimy o informacje nadzwyczaj uprzejmego p. prof. Dr. Stefana Gajewskiego, który wystawę tę urządził. Oto są słowa, uprzejmie udzielonego nam wywiadu:

„Preparaty, znajdujące się w tej sali, stanowią pod każdym względem rzecz ciekawą i pouczającą. Jeżeli pięknością i doskonałością odznaczają się preparaty płuc (pies i wilk), to preparat serca psa jest pod względem wykończenia, wprost prześliczny, a pod względem naukowym niezrównany. Preparaty te sporządził własną metodą prof. dr. Antoni Bant, kierownik zakładu anatomji porównawczej Akad. med. wet.

Klinika chirurgiczna dała ciekawe preparaty ze zmianami chorobowemi w kościach i rzadki okaz bąblowca (cisticersus), oraz potwornie dużego guza gruczolaka (adenoma).

Zbiór preparatów zakładu anatomji patologicznej, uwidocznia całą grozę tej nędzy schorzeń, trapiącej nietylko ród ludzki, lecz także i zwierzęta. Prof. dr. Aleksander Zakrzewski niemało mrówczej pracy, a przedewszystkiem nieprzeciętnej swej wiedzy poświęcił wyborowi, zestawieniu i urządzeniu okazów tych najstraszniejszych wrogów życia. W jednych słojach tają się cicho i zdradliwie niewinnie napozór wyglądające pasorzyty. Tam skryła się za inne preparaty wścieklizna, jakby wstydząc się, a równocześnie groźnie szczerząc okryte złowrogą pianą zęby. Tu znowu gruźlica powtarza swe tak aktualne, a tak tragiczne „memento". Najważniejsze jednak miejsce zajmują grozą wionące preparaty nowotworów. Guzy rakowe rozmaitych narządów ustroju zwierzęcego budzą podziw swą dziwną złośliwością, z jaką niszczą ustrój i swemi rozmiarami.

A przytem... ile trwożnych uczuć przemknie przez duszę na widok tej okropnej, nierozwiązanej dotychczas zagadki. Bunt jakiś zrywa się — tem rozpaczliwszy, że ...bezsilny.

Z tych smutnych myśli budzi wesołe szczekanie, jakby zaprzeczenie tej groźnej rzeczywistości. A więc śpieszmy tam, skąd szczekanie to dochodzi, bo tam zdrowie! Tam radość! Tam wrzątek życia!

Nim dojdziemy do głównej sali wystawy psów, zatrzymujemy się w sali, gdzie pomieszczono urządzony z inicjatywy dyrektora Targów Wschodnich WP. Grossmanna, konkurs fotograficzny p. t. „Pies i człowiek". Chcący zająć się tą wystawą amator fotograf, miłośnik psów i myślistwa, znachodził tu kilkadziesiąt przemiłych obrazków z życia psa i człowieka. Jury w osobach JWPp.: prof. Lenkiewicza Adama, inż. Romera Witołda i prof. Rozwadowskiego Zygmunta, wyeliminowało szereg pięknych fotografij psów jako nieodpowiadających warunkowi konkursu, a przyznało nagrodę pierwszą p. Mirzeckiej za fotografję „Pani z pieskiem", drugą za fotografję p. t. „Dwa uśmiechy" p. Stefanickiemu, trzecią za fotografję „Pani z seterem" p. Wiktorowi, czwartą za fotografję p. t. „Szukaj" p. Diamandównej. — Poza tem zwracały uwagę pięknością motywów i techniką wykonania fotografje p. t. „Chłopczyk z pieskiem", „Rozbawione foxy, „Wyżej wystawiający", „Dziecię z pieskami" i wiele innych.

W tej sali jeszcze zwracała uwagę szykowna pani, siedząca zwyczajem zagranicznym, przy klatce ze swoim ulubieńcem „Sing Tsar of Cathag" pekińskim pałacowym pieskiem, spoczywającym na atłasowej, żółtej poduszce, ozdobionym żółtą fantazyjnie zawiązaną kokardą. Piesek ten według zapewnień właścicielki WP. Zbrożkowej z Rudek, powinien był otrzymać medal brylantowy a otrzymał tylko srebrny, widocznie z powodu utajonych a właścicielce nieznanych wad, jakkolwiek był okazem wyjątkowo pięknym. U wejścia do głównej sali, zwracał uwagę czarny pies „Jacky", rasy cockerspaniel, chowu psów królowej Marji rumuńskiej, własność hr. Della Scala z Rumunji. Spaniel ten, jakoteż drugi czarno-siwy „Ben", hodowli p. Seweryna Brunickiego, a własność p. Łępkowskiej z Choronowa, otrzymał srebrny medal.

Wśród psów myśliwskich, o których w numerze 13 i 14 „Łowca" była szczegółowa mowa, na wzmiankę zasługuje suka „Leda", wyżlica niemiecka krótkowłosa, która otrzymała srebrny medal wraz z swem potomstwem, mianowicie czterema pięciomiesięcznemi wyżłami, z pośród których „Trop" otrzymał medal bronzowy. Był to obok znanych jamników p. Borkowskiego i foxów p. Hulimkowej, pocieszający okaz usiłowań hodowlanych psów myśliwskich, za co należy się masie spadkowej po ś. p. Kazimierzu Badenim z Buska a właściwie p. Andrzejowi Skrzyńskiemu pochlebne uznanie. — Wśród psów myśliwskich zwracał powszechną uwagę tropowiec „Brzydek" p. Wandy Krzeczunowiczowej z Jaryczowa Nowego, importowany z Anglji, odznaczony złotym medalem i „Dax", inż. Olszewskiego ze Lwowa, długowłosy czarny podpalany jamnik, pochodzący z Gdańska, ciekawy i bardzo rasowy okaz psów tej rasy.

Z pośród foxterierów otrzymał złoty medal „Koecher v. d. Burg", szorstkowłosy pies, własność p. Krosińskiego z Warszawy. Tej samej rasy był wystawiony także pies „Tirydaik Commander" z rodowodem Kennel Klubu w Londynie, odznaczony dziewięcioma pierwszorzędnemi nagrodami w Londynie, własność inż. Michała Ulama, niestety jednak z powodu ostrzyżenia go, nie mógł być wzięty do oceny. — W dziale tym zasługuje na wzmiankę para foxów ostrowłosych z psiarni p. Stefana Wiktora, z których piesek „Szlem", otrzymał medal bronzowy.

Ponieważ psy myśliwskie były omówione w poprzednim numerze „Łowca" szczegółowo, przeto na tem uwagi nasze o psach myśliwskich zakończymy, przyznając, że ten dział psów był w stosunku do naszych potrzeb i możności hodowlanych, bardzo skromny.

Z pośród psów do obrony i stróżowania, wysunęły się na pierwszy plan psy policyjne, przesłane na wystawę dzięki uprzejmości Głównej Komendy Policji Państwowej w Warszawie. Psy te w ilości dwunastu sztuk, wszystkie odznaczone medalami złotemi, srebrnemi lub

bronzowemi, pod kierownictwem nadkomisarza Policji Państwowej p. A. Grimma, rasy: owczarki alzackie, airedale-teriery, dobermany i jeden bokser, przedstawiały się rozentuzjazmowanej publiczności w popisach śledzenia, pilnowania i ścigania złoczyńców i wykazały znakomitą tresurę, oraz celowość użycia psów do służby policyjnej.

Obok tych psów popisywały się psy ociemniałych inwalidów wojskowych, wśród których bernardyn „Bary", odznaczony czwartą nagrodą, dał wzruszający obraz pieczołowitości nad prowadzonym przez się ociemniałym. Przed ustawionemi przeszkodami zatrzymywał ociemniałego, zwracając mu na nie uwagę, a następnie oprowadzał, omijając przeszkodę. — Ociemniały opowiadał, że czuje się pod opieką tego swego przyjaciela zupełnie pewnym, chodzi ze swej wioski do dalekiego miasteczka, a pies tak się nim opiekuje, że w razie grożącego niebezpieczeństwa, kładzie się wprost na drodze i nie pozwala ociemniałemu przejść przez ulicę.

Na osobną wzmiankę zasługuje suka owczarka alzacka por. Hompesza, która swą wysoką tresurą budziła podziw publiczności i otrzymała dar honorowy redakcji czasopisma „Pies".

W dziale owczarek, medal bronzowy otrzymał „Tutny", owczarek polski, biały, wystawy p. Stanisława Lewandowskiego i „Annin", owczarek alzacki, pochodzący z Deutsches Schäferhundverband z Berlina, własność p. Amickiej ze Lwowa. Na szczególną wzmiankę zasługuje odznaczona listem pochwalnym węgierska owczarka „Kudłaj - Puti", p. Zygmunta Kremera, dentysty ze Lwowa, z tego względu, że o jej przodkach istnieje na Węgrzech osobna literatura, gdyż dążeniem węgierskiego ministerstwa rolnictwa jest wytworzyć idealną rasę psów owczarskich, tak potrzebną na Węgrzech do strzeżenia wielkich stad bydła. Byłoby wskazane udostępnienie tej literatury dla nas, celem zajęcia się również u nas tak potrzebną a będącą ponoś w zaniku, rasą psów pasterskich. Z pomiędzy bokserów odznaczał się piękny, żółty pies „Bom", p. Heleny Sroczyńskiej, odznaczony listem pochwalnym i „Smok" Aleksandra Wasunga, odznaczony srebrnym medalem.

Z pośród psów pokojowych otrzymał złoty medal buldog francuski „Damm v. Hammerling", p. Alfreda Sommersteina, medal srebrny „Bobi" pułkownikowej Marji Langowej z Krakowa, „Sedt v. Horstenau" Marji Wisel z Przemyśla, a nadto medal bronzowy „Chicky", Heleny Olexińskiej z Romanówki.

Wszystkie pieski rasy gryfonów brukselskich, hodowli p. M. Lewandowskiej, z rodowodem austrjackim, przepiękne srebrzyste długowłose pokojowe, otrzymały odznaczenia. Mianowicie „Takata" suczka, własność Dr. Lesława Węgrzynowskiego i „Tik" piesek, własność inż. Tadeusza Rogali, otrzymały medale złote a ich rodzice, własność p. Lewandowskiej, mianowicie suczka „Mausi", medal bronzowy i piesek „Jakob Relsburg", medal srebrny.

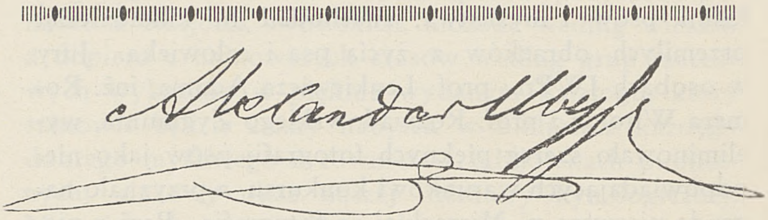
Z pomiędzy pinczerów otrzymał wreszcie „Teffi" Dr. Mygarda, medal bronzowy.

Z pełnem uznaniem należy podnieść zapobiegliwość zarządu Targów Wschodnich, który przeznaczył na wystawę całe skrzydło pawilonu centralnego z odpowiednim placem na popisy i przechadzki dla psów i z wygodnemi trybunami dla publiczności, a kierownik wystawy inż. Sroczyński, sam miłośnik i właściciel psów, urządził celowo wygodne klatki dla psów, postarał się o osobne dla każdego psa naczynie do żywienia i pojenia i dozorował pieczołowicie ich żywienie. Stroną administracyjną wystawy zajął się z uznania godną pedanterją i energją p. Niezabitowski. W zakończeniu wyrazy uznania za ofiarną, może nie bijącą w oczy lecz skuteczną pracę należą się pp. Stefanji Nikorowiczównie, sekretarce komitetu i p. Irenie Pilewskiej.

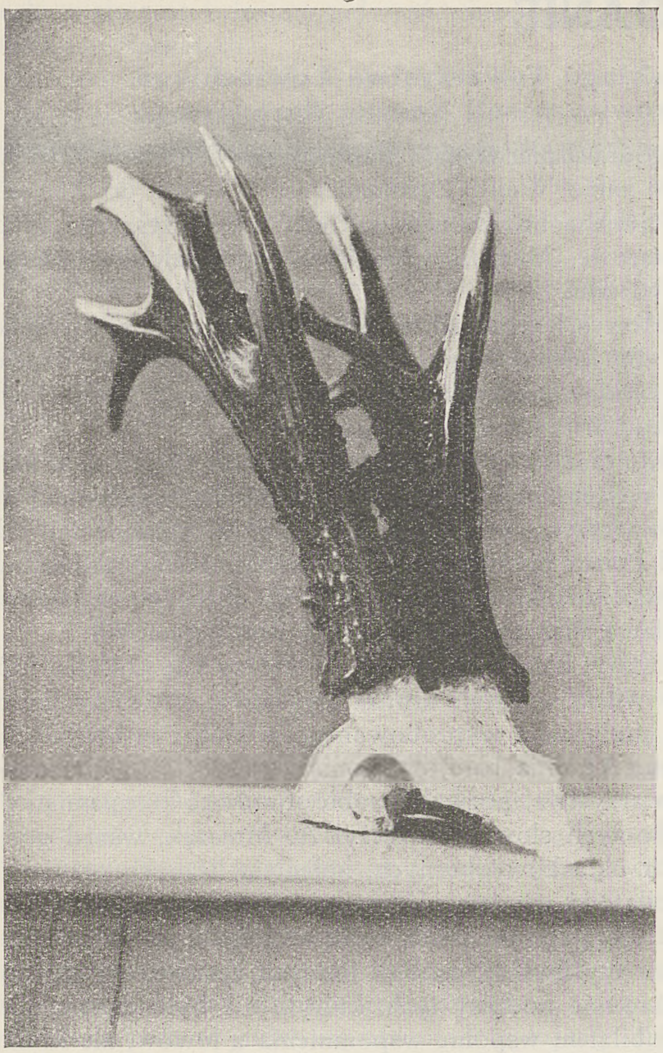
Hodowcy i wystawcy przekonali się, że oddane na wystawę psy były otoczone najdalej idącą opieką a komitet, wzbogacony o szereg doświadczeń, może liczyć, że wystawy takie urządzone w przyszłości, cieszyć się będą zaufaniem i zostaną licznie obesłane.

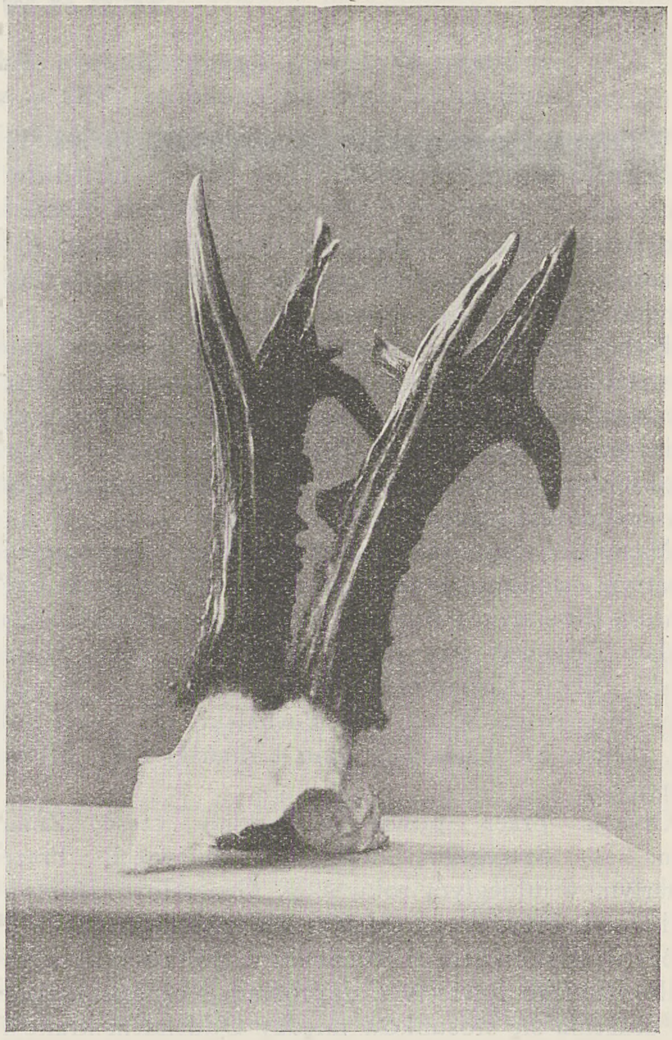
Urządzona wystawa psów myśliwskich i rasowych we Lwowie była pierwszym etapem akcji, zmierzającej do założenia przy M. T. Ł. Towarzystwa hodowli psów rasowych we Lwowie, któreby w ścisłej łączności ze Związkiem hodowców psów rasowych i Towarzystwem hodowli psów myśliwskich w Warszawie, skupiło hodowców i miłośników psów rasowych na terenie Małopolski i przyczyniło się do zorganizowania się tychże, do ułatwienia hodowli i dostarczenia miłośnikom prawdziwie rasowych okazów hodowli krajowej, a tem samem zatrzymało w kraju tysiące, wydawane na zakupno psów zagranicznych.





Podobizna podpisu Aleksandra U b y s z a, słynnego gawędziarza, autora „Charta". *W. Z.*





Zabity przez hr. Jerzego Baworowskiego dnia 7 lipca 1932 w Bołożynowie powiat Złoczów podjazd wieczorny na 75 kroków — grubość 13·5 cm, wysokie 27 cm, waga 43 dkg.

Ze stacji badania wędrówek ptaków

Wobec rozpoczętego sezonu polowań na ptactwo, Stacja Badania Wędrówek Ptaków przypomina się pamięci myśliwych. Od czasu do czasu zdarza się, że zabity ptak ma na nodze aluminjową obrączkę, założoną bądź też przez stację polską, bądź też przez jedną ze stacyj zagranicznych. Otóż w imię nauki, uprasza się o nadsyłanie takich obrączek do Stacji badania Wędrówek Ptaków (Państwowe Muzeum Zoologiczne, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26/28). Przy przesyłaniu obrączki zaznaczyć należy:

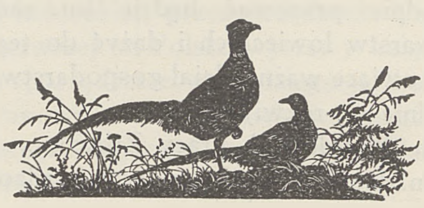
1. Datę schwytania lub zabicia ptaka.
2. Miejscowość, w której ptak został zabity (z podaniem powiatu).
3. Nazwisko tego, kto zabił lub schwytał ptaka.
4. Dokładny adres pocztowy podającego wiadomość.

Jeśli ptak zaobrączkowany pochodzi z za granicy Polski, to Stacja Badania Wędrówek Ptaków ze swej strony poda komu należy wiadomość o zabiciu lub złapaniu ptaka w Polsce, po otrzymaniu zaś odpowiedzi, zawiadomi nadsyłającego o miejscu zaobrączkowania ptaka.

Niejednokrotnie nasi myśliwi przesyłają wiadomości o obrączkowanych ptakach bezpośrednio do stacyj zagranicznych, skąd dopiero otrzymuje wiadomość stacja polska. Z wielu względów pożądane jest, by wiadomości o obrączkowanych ptakach, zabitych w Polsce, docierały przedewszystkiem do stacji polskiej.

Pożądane jest przesyłanie nie tylko obrączki, ale całego zabitego ptaka, przyczem należy go nadać na pocztę jak najprędzej po zabiciu. Latem, należy zabitemu ptakowi wsypać nieco soli do dzioba, pod powieki oraz do otworzonej uprzednio jamy brzusznej.

Na żądanie stacja zwraca koszta przesyłki.



SPRAWOZDANIE

z obrad Walnego Zgromadzenia Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego odbytego dnia 26 czerwca 1932 r. we Lwowie, w sali Kasyna Narodowego

Walnemu Zgromadzeniu przewodniczył Prezes Towarzystwa Juljusz hr. Bielski, obok którego zasiedli wiceprezesi: Wojciech hr. Gołuchowski, Albert Mniszek, Dr. Alfred Sander i Adam hr. Starzeński, Prezes Oddziału Towarzystwa w Krakowie; sekretarzował Aleksander Ulm.

Prezes hr. Bielski, otwierając Walne Zgromadzenie, powitał zastępcę Pana Wojewody lwowskiego, w osobie Naczelnika Wydziału, Pana Stanisława Kumora, tudzież przedstawiciela P. Z. St. Ł. w osobie Pana Walentego Garczyńskiego, członka Zarządu Głównego Związku i redaktora „Łowca Polskiego".

Następnie poświęcił Prezes serdeczne wspomnienie zmarłym członkom Towarzystwa. Są to, względnie byli: Antoni Biberstein-Błoński, Władysław Bogucki, Stanisław Dolański, inż. Adam Ebenberger, Leon Horodyski, Albert Kaempffe, Tadeusz Łysakowski, Władysław Mięsowicz, Władysław Puchalski, gen. Józef Stiller, Juljusz hr. Tarnowski, Jan Urbański i ks. Michał Zaremba.

Obecni przez powstanie oddali cześć Zmarłym. — Szczególną wzmiankę poświęcił Prezes zmarłym w ubiegłym roku ś. p. Generałowi Józefowi Stillerowi, Prezesowi Oddziału krakowskiego M. T. Ł., który w doskonałem zrozumieniu wspólności interesów małopolskiego łowiectwa, doprowadził do harmonijnego ułożenia się stosunków między Oddziałem krakowskim, a Macierzą we Lwowie, następnie nieodżałowanej pamięci inż. Adamowi Ebenbergerowi, nader czynnemu członkowi Wydziału, a tak bardzo zasłużonemu organizatorowi licznych strzelań myśliwskich, a wreszcie Juljuszowi hr. Tarnowskiemu, który przez szereg lat zasiadał w Wydziale M. T. Ł. i był przez długie lata Prezesem Towarzystwa lisowickiego.

Przedstawiwszy niepomyślny stan finansów Towarzystwa i dając wyraz nadziei, że członkowie podobnie, jak to już bywało, znajdą sposoby poparcia Towarzystwa w ciężkiej dlań chwili, omówił Prezes prace Wydziału około sprawy nowelizacji prawa łowieckiego.

W zarządzie P. Z. St. Ł. zaszła zmiana, spowodowana rezygnacją mowcy z prezesury Związku, podyktowaną szczególnie tem, iż spostrzegł, że dla należytego toku czynności Zarządu Związku, nieodzowną jest obecność jego prezesa w Warszawie. — Prezesem Związku wybrano generała dywizji Kazimierza Sosnkowskiego, co powitać należy z prawdziwem zadowoleniem, gdyż Zarząd Związku w swym obecnym wybitnym składzie, a pod egidą tak wytrawnego i zamiłowanego myśliwego, niezawodnie pracować będzie ku zadowoleniu wszystkich warstw łowieckich i dążyć do tego, by łowiectwo, stanowiące ważny dział gospodarstwa społecznego, pomyślnie się rozwijało.

W uznaniu długoletniej pracy Związku, przyznało Walne Zgromadzenie Związku mowcy bardzo zaszczytną godność pierwszego, honorowego Członka P. Z. St. Ł., a to samo Walne Zgromadzenie, wybrało do Zarządu Wojciecha hr. Gołuchowskiego wiceprezesa M. T. Ł. i starostę, Marjana Chrzanowskiego, członka naszego Wydziału.

Mowca wspomniał też o uzyskaniu zupełnej satysfakcji dla łowiectwa polskiego w przykrym incydencie, spowodowanym artykułem w czasopiśmie niemieckiem „Zeitschrift für Forst u. Jagdwesen".

Kończąc swe przemówienie podniósł Prezes, iż w gronie naszem mamy Jubilata, a mianowicie najdawniej do Towarzystwa należącego Członka. W sprawie tej, oddał Prezes równocześnie głos wiceprezesowi Albertowi Mniszkowi, który zwracając się do obecnego na sali Stanisława Pieńczykowskiego, tak doń przemówił:

„Stary, Kochany Druhu! Ci, którzy Cię kochają, którzy widzą w Tobie arbitra myślistwa, człowieka honoru, przyjaciela wypróbowanego w doli i w niedoli, na pamiątkę dnia tego, na pamiątkę 55-lecia należenia do Towarzystwa, pozwalają sobie ofiarować Ci tę pamiątkę".

Po tych słowach, wręczył A. Mniszek, wśród gorących oklasków obecnych, imieniem licznych przyjaciół Jubilatowi artystycznie oprawną księgę pamiątkową, zawierającą spisane przez wielu wspólne z Jubilatem przeżycia myśliwskie, a obok licznych rysunków i akwarel i skromne podpisy tych, którym nie było danem mieć z Jubilatem wspólne wspomnienia z łowów, ale którzy niemniej otaczają go głębokim szacunkiem i serdeczną przyjaźnią lub conajmniej żywą sympatją.

Widocznie wzruszony tą nieoczekiwaną manifestacją uczuć, w krótkich słowach odpowiedział i podziękował Jubilat.

W imieniu Pana Wojewody lwowskiego życzył Walnemu Zgromadzeniu pomyślnych obrad Naczelnik Wydziału Wojewódzkiego lwowskiego, Stanisław Kumor, podnosząc, że M. T. Ł. dzierży wysoko sztandar opieki nad gospodarstwem łowieckiem i że się przed niem zgromadziło znowu wiele ważnych problemów, wymagających żmudnej, wytrawnej i fachowej pracy.

Niezagojone bowiem dotąd rany zadane zwierzostanowi w pamiętnej zimie 1928/29 roku, zostały jakby na nowo rozdarte wypadkami aury zimy ubiegłej, która tylko na pozór była łagodną, bo przeciągając się nad miarę zdziesiątkowała niektóre gatunki zwierzyny. Dlatego myśliwi powinni być umiarkowani przy wykonywaniu odstrzału.

Ważnem jest również uzyskanie nowego prawa łowieckiego z takiemi postanowieniami, któreby naprawdę zapewniły rozwój gospodarki łowieckiej.

Prezes podziękował mowcy za tak życzliwe wyrazy i nawiązując do poruszonej przez niego sprawy koniecznego umiarkowania w odstrzale zwierzyny, zwrócił uwagę na trafiające się wypadki niewłaściwego wykonywania myślistwa dla osiągnięcia rekordów, jak to

miało miejsce na jednem z polowań wiosennych b. r. na głuszce w Karpatach.

Członek Zarządu P. Z. St. Ł. p. W. Garczyński, powitał Walne Zgromadzenie imieniem Związku, wyrażając niepłonną nadzieję, że „nasza współpraca będzie nadal w przyszłości szła po korzystnej linji i że myśl i wola M. T. Ł., będą i w dalszym ciągu odgrywać dużą rolę w organizacji łowiectwa polskiego".

Po zwolnieniu sekretarza od odczytywania protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia, uzupełnił wiceprezes A. Sander wydrukowane w „Łowcu" sprawozdanie z czynności Wydziału za rok ubiegły. — Podniósł między innemi nader celowo i pracowicie ułożoną statystykę łowiecką z powiatu rawskiego przez delegata Kazimierza Wysockiego. — Ten elaborat statystyczny i dołączony doń topograficzny opis powiatu, podał równocześnie sekretarz Ulm do przeglądnięcia, by się z temi pracami zapoznali przynajmniej członkowie i delegaci na Walnem Zgromadzeniu obecni, gdyż niestety obszernych tych prac, któreby stanowiły razem pokaźną broszurę, właśnie z powodu tej ich objętości, nie można wydrukować w „Łowcu".

Dr. Sander przedstawił dalej trudne położenie finansowe Towarzystwa, skoro jego kasa wykazuje w dniu dzisiejszym gotówkę w kwocie 108 zł., gdy najskromniej prowadzone koszta administracji Towarzystwa i redakcji „Łowca", wynoszą przeszło 1000 zł. miesięcznie i prosi o obmyślenie środków zaradczych.

Dr. Adam Sołowij podniósł zasługi Redakcji naszego kochanego „Łowca", którego redagowanie w tak trudnych warunkach w jakich się obecnie znajdujemy, spoczywa na barkach jego Redaktora, wiceprezesa A. Mniszka i stawia wniosek na zaapelowanie na łamach „Łowca" o złożenie jednorazowej doraźnej daniny na podtrzymanie egzystencji „Łowca" w tym trudnym gospodarczo okresie.

Wiceprezes A. Mniszek, dziękuje za wyrazy uznania i zapewnia, że staraniem Komitetu redakcyjnego będzie nadal prowadzić „Łowca" na tym samym wysokim poziomie, mimo piętrzących się trudności.

Delegat Kazimierz Wysocki wyraził zdanie, że trudnem położeniem gospodarczem nie mogą członkowie Towarzystwa zasłaniać się przed wpłacaniem 36 zł. rocznie wkładki członkowskiej, skoro przecież nieraz myśliwi na jedno polowanie wydają znacznie większe kwoty, a często w jednym dniu, wystrzelają samych naboi za większą kwotę. Z drugiej strony, zadaniem Redakcji obu czasopism łowieckich jest tak je redagować, aby zainteresować myśliwych, skupić ich koło siebie i otworzyć swe łamy na artykuły ogół myśliwych interesujące, a nie otaczać się tajemniczością w niektórych sprawach ogół myśliwych obchodzących lub między nimi jeszcze spornych. — Trzeba się też starać, aby wykonywanie łowiectwa nie było tak drogie, przez potanienie amunicji i aby było wogóle należycie unormowane przez nowelizację prawa łowieckiego. Apeluje wkońcu do delegatów M. T. Ł., aby spełniali gorliwie swoje obowiązki przez częste umieszczanie korespondencji o swoich powiatach i przez ciągłe wpływanie na członków, aby wyrównywali zaległe wkładki, jak to się stało w jego powiecie, gdzie zaległości już niema. Przypomniał też, że wkładka członkowska wynosi właściwie 32 zł. na cele administracji Towarzystwa i na „Łowca", a zł. 4, przeznaczone były na bibljotekę, zatem wstawiona do preliminarza kwota 50 zł. na ten cel, jest zbyt małą.

Dr. Rosienkiewicz w dłuższem przemówieniu poparł myśl, aby w celu doraźnego ratowania bytu Towarzystwa, zaapelować do członków o jednorazową daninę, ale też żądał, by Związek Stowarzyszeń łowieckich postarał się o subwencję rządową, któraby była rekompensatą za działalność Związku i towarzystw ideowych w nim zrzeszonych i pomogła im w pracy ku podniesieniu gospodarki łowieckiej, przysporzyć mogącej dochodów Skarbowi Państwa. Przez delegatów dążyć należy do ściągnięcia zaległych wkładek, bo ściąganie ich w drodze sądowej jest procederem zbyt długim i nie zawsze do celu prowadzącym.

Wogóle Wydział M. T. Ł. winien od delegatów kategorycznie zażądać współpracy, tak w kierunku ściągnięcia wkładek jak i też w informowaniu o stosunkach łowieckich powiatu, tak aby M. T. Ł. miało jakąś korzyść z tego, że posiada po kilku delegatów w każdym powiecie.

Przedstawiciel Polskiego Związku p. Garczyński, zauważył na przemówienie delegata K. Wysockiego, że są sprawy, których na łamach czasopism omawiać nie można, jest natomiast słusznem twierdzenie tego delegata i wiceprezesa Sandera, że tylko nie wielka ilość myśliwych jest zrzeszoną, a reszta korzysta z pracy kilku i odnosi korzyści. — Tak np. stało się z akcją zdążającą do obniżenia ceny za amunicję myśliwską, co do której udało się powstrzymać podwyżkę, z czego korzystać będą wszyscy myśliwi. To jest wykorzystywanie cudzej pracy. Również niesprawiedliwe jest, że kwota uzyskana za karty myśliwskie, a przeznaczona na podniesienie kultury łowieckiej, wpływa w całości do kasy Skarbowej, bez żadnej korzyści dla celu swego przeznaczenia. Tę sprawę trzeba będzie koniecznie uregulować.

Wiceprezes A. Mniszek przypomniał, że w ubiegłym tygodniu otwartą została wystawa psów rasowych i myśliwskich przy XII. Targach Wschodnich i że Małopolskiemu Towarzystwu rolniczemu i Zarządowi Targów, należy się podziękowanie także od sfer myśliwskich za urządzenie tego pokazu. Również gorące podziękowanie należy się Akademji medycyny weterynaryjnej za urządzenie przy tej wystawie działu anatomicznego i patologicznego. Szczególną jednak wdzięczność świata łowieckiego zaskarbił sobie znowu członek naszego Wydziału, Dr. Witold Ziembicki niestrudzony w pracach na polu bibljografji łowieckiej, przez urządzenie przy tej sposobności pierwszej w Polsce wystawy książki kynologicznej i za sporządzenie wspaniałego jej katalogu, który będzie stanowić cenny nabytek do księgozbioru każdego myśliwego, mającego zrozumienie, dla spraw literatury myśliwskiej.

Delegat Wysocki zabrał głos ponownie domagając się przyśpieszenia decyzji w sprawie próśb o odstrzał zwierzyny, przez postaranie się o przelanie kompetencji w udzielaniu pozwoleń z Ministerstwa roln. na Urzędy wojewódzkie. Zwraca też uwagę na niewłaściwą i szkodliwą praktykę przy wydzierżawianiu polowań w drodze licytacji, przy których częstokroć podbija się cenę dzierżawną do nieprawdopodobnej wysokości, aby następnie płacić czynsz znikomo mały lub go całkowicie nie płacić. Konkretne fakta takich niewłaściwości może mowca podać do wiadomości i prosi, aby Wydział M. T. Ł. sprawą tą miarodajne czynniki zainteresował.

Poruszoną przez Delegata Wysockiego sprawę nadużyć przy wydzierżawianiu polowań od spółek łowieckich, wyjaśnił M. Chrzanowski jako referent prawny Wydziału i członek Komisji dla nowelizacji prawa łowieckiego. — Sprawa ta uwzględniona mianowicie została w projekcie nowelizacyjnym prawa łowieckiego, po którego wejściu w życie, takich nadużyć już nie będzie. Wyjaśnił prócz tego, wobec zainteresowania się myśliwych projektem prawa łowieckiego, że w projekcie tym znalazło się uregulowanie sprawy enklaw i postanowienia o przymusowej rejestracji obwodów łowieckich, o kwalifikacji dzierżawców i ingerencji władz, o ochronie prawnej straży łowieckiej, przymusie utrzymania jej, o zakazie tępienia szkodników w dalszych odległościach poza zagrodą, o zamykaniu rabunkowo gospodarowanych obwodów, stworzeniu funduszu łowieckiego, ustaleniu obszaru obwodów wspólnych (minimum 500 ha), obowiązku należenia do organizacji łowieckiej, od czego uczyniono zawisłem uzyskanie karty łowieckiej. — Projekt ten też znosi, a przynajmniej bardzo ogranicza kompetencję sądów rozjemczych w sprawach szkód polowych wyrządzonych przez zwierzynę, a obostrza postanowienia karne, przez oznaczenie najniższego wymiaru kary za przekroczenia łowieckie.

Generał Maryański żalił się, że bolączką myśliwych jest obecnie kwestja uzyskania amunicji kulowej. Nie wytwarzamy w kraju prochu do amunicji kulowej nie mamy wytwórni łusek, spłonek i kul, a nie możemy tej amunicji sprowadzać z zagranicy. Z tych powodów nie możemy trenować i urządzać zawodów strzeleckich z broni myśliwskiej. Ze strony Ministerstwa handlu i przemysłu jakoteż Skarbu, spotykają się firmy handlowe i myśliwi z niezrozumieniem sprawy. — Gdy obecny na sali P. Stanisław Czerski z Warszawy zwrócił uwagę mowcy, że proch do amunicji kulowej wyrabia się już w kraju i że proch ten był nawet reklamowainy w „Łowcu Polskim", oświadczył Generał Maryański, że się sprawą walorów tego prochu zajmie, ale podnosi, że pozostałaby jeszcze zawsze do rozwiązania kwestja, nabywania spłonek, łusek i kul.

Na wniosek delegata K. Wysockiego udzielono Wydziałowi absolutorjum z czynności i rachunków i przyjęto do wiadomości preliminarz na rok przyszły.

Przystąpiono do wyborów:

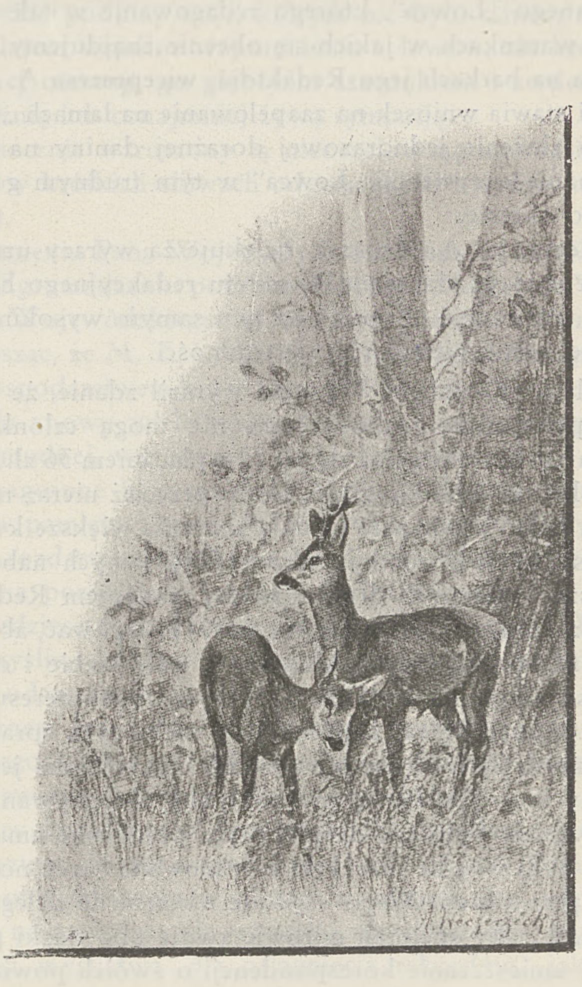
Na wniosek delegata Kazimierza Wysockiego, wybrano ponownie przez aklamację całe ustępujące w b. r. Prezydjum, a w miejsce ustępujących, względnie wylosowanych członków Wydziału, wybrano Stanisława Madeyskiego, Dr. Franciszka Piechowskiego, Henryka Preka i Zygmunta Gronziewicza, zaś na zastępców, Dr. Ksawerego Obmińskiego, Cammilla Perini'ego i inż. Tadeusza Sroczyńskiego.

Wobec tego wyniku wyborów, skład Wydziału na rok 1932/33, jest następujący:

Prezes Juljusz hr. Bielski, Wiceprezesi: Wojciech hr. Gołuchowski, Albert Mniszek, Dr. Alfred Sander i Adam hr. Starzeński (jako prezes Oddziału M. T. Ł. w Krakowie); członkowie Wydziału: Marjan Chrzanowski, Władysław Garapich, Zygmunt Gronziewicz, Tomisław Jędrzejowicz, Stanisław Madeyski, Dr. Aleksander Małaczyński, Dr. Franciszek Piechowski, Stanisław Pieńczykowski, Henryk Prek, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, Aleksander Ulm i Dr. Witołd Ziembicki; zastępcy członków: Roman hr. Bielski, Dr. Stanisław Gajewski, Stanisław Jaśkiewicz, Dr. Ksawery Obmiński, Pułk. Cammillo Perini i inż. Tadeusz Sroczyński.

Ponieważ przy punkcie wniosków nikt głosu nie żądał, przeto Przewodniczący J. hr. Bielski, zamknął Walne Zgromadzenie podnosząc wytrwałą pracę członków Wydziału M. T. Ł., którzy chętnie poświęcają chwile wolne od pracy zawodowej dla dobra łowiectwa i dla godnego podtrzymania sztandaru idei myśliwskiej, zaco im złożył z tego miejsca serdeczną podziękę.

U.



KORESPONDENCJE

Z Avifauny

Już w roku 1931 stwierdziłem w swym majątku na południowym krańcu powiatu stanisławowskiego znikomy nalot jaskółek. W roku bieżącym jaskółka jest unikatem. Bocianów coraz mniej. Czaple mimo, że Bystrzyca tuż obok wsi płynie, nader mało.

Natomiast są dwa gniazda czarnych bocianów. Zwykle miałem jedno gniazdo z 2 — 3 młodemi. Widocznie stare zezwoliły młodym na założenie własnego gniazda o parę kilometrów od starych. Gdyby je można zobrączkować! — Niestety nie są na moim terenie łowieckim.

Stan kuropatw po klęskach zimowych zaczyna się poprawiać. Zaniku jaskółek nie mogę sobie wytłumaczyć; czyżby coraz większa ilość reflektorów wpływała na to — bo przecież wątpię, by na nie polowano na południu; — a wytwórnie gazów trujących nietylko na te ptaszyny oddziaływują śmiertelnie. Jedno ewentualnie jest możliwe przypuszczenie! Spóźniona wiosna, śniegi i mrozy zaskoczyły ptactwo, które z braku żywności wyginęło poprostu z zimna i głodu.

W. G. S.

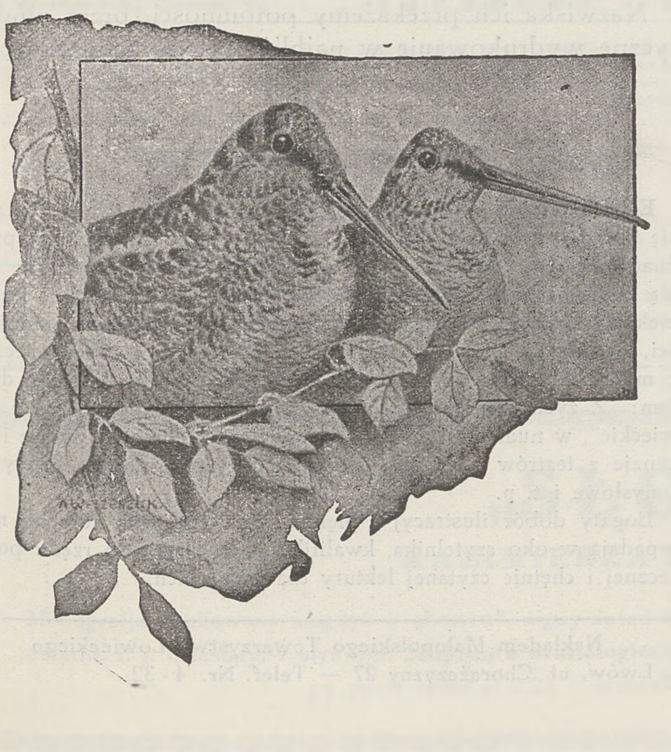
Brody, 30 czerwca 1932 r.

Ciekawą, a dotychczas nieobserwowaną rzecz zauważyłem. — Otóż cała masa, bo do 100 sztuk dochodząca, bocianów luzaków przebywa od wiosny na łąkach, położonych w pobliżu Brodów. Nie ścielą gniazd i nocują stale na łąkach w zbitej gromadzie, a nie mają nic wspólnego z bocianami miejscowemi, które wróciwszy na gniazda, normalnie się mnożą.

Opisany wyżej wypadek jest dla mnie niezrozumiały i podczas mego długiego życia jako myśliwego i obserwatora nie zauważany; podaję go do wiadomości szerszego ogółu z tem, że należałoby stwierdzić, czy podobny fakt nie został i w innych częściach kraju zaobserwowany, a nasi ornitologowie powinni zająć się jego wyjaśnieniem.

Hr. Józef Tyszkiewicz
del. M. T. Ł.

Z różnych okolic Małopolski otrzymujemy wiadomości, że bociany w tym roku po największej części się nie gnieździły i noce spędzają na starych drzewach w lasach. Jakie są przyczyny tej zmiany trybu życia bocianów, nie wiadomo. Nie wątpimy, że nasi badacze przyrody faktem tym się zainteresują. *Red.*



Zawody Strzeleckie w Lubieniu Wielkim

Z inicjatywy Zarządu zdrojowego i grona myśliwych powiatu gródeckiego, odbyły się dnia 10 lipca b. r., zawody strzeleckie w Lubieniu Wielkim, ograniczone z powodu trudności technicznych i terenowych do strzelania z broni małokalibrowej, z pistoletów i do strzelania śrutem do rzutków.

Wyniki:

I. Strzelanie z broni małokalibrowej na odległość 25 m — 1. Jerzy Winnicki, 2. Jerzy Zawidowski, 3. inż. Zdzisław Małecki.

II. Strzelanie z broni małokalibrowej na odległość 50 m — 1. inż. Zdzisław Małęcki, 2. Adam Jackowski, 3. Jerzy Winnicki, 4. Alfred Bizanz.

III. Strzelanie z pistoletów na odległość 20 m — 1. Irena Zielińska, 2. Adam Jackowski.

IV. Strzelanie do rzutków: 1. Dr. Alfred Sander, 2. Waldemar Stauffer, 3. Erwin Kintzi, 4. Jerzy Zawidowski.

Na huczne oklaski i szczere gratulacje zasłużyła Pani kapitanowa Zielińska, której tarcza świadczyła o niezwykłej pewności oka i ręki zawodniczki, strzelającej z automatycznego pistoletu wojskowego, bez przyśpiesznika. Organizacja zawodów, która spoczywała w rękach Pp. em. pułk. Kazimierza Jackowskiego i kap. Stanisława Zielińskiego, była dobrą, a jeżeli miała jakie niedociągnięcia, to należy to tłumaczyć doraźnością urządzenia imprezy. Dobra wola organizatorów i ich niezwykła uprzejmość i serdeczność sprawiły, że uczestnicy zachowają długo w pamięci mile spędzony dzień, opuściwszy zresztą strzelnicę obdarzeni ponad zasługę, pięknemi premjami, które ofiarowali: Adolf br. Brunicki, Zarząd Zdrojowy i Komitet sportowy.

A. Sander



Sprawy Towarzystwa

Z Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie

W maju b. r., odbyło się posiedzenie Wydziału pod przewodnictwem p. prezesa Adama hr. Starzeńskiego i przy udziale pp. wiceprez. dr. Adama Lardemera, oraz członków Wydziału: Marjana Jagusińskiego, dr. Bolesława Korolewicza, Stanisława Morawetza, Stefana Rożeckiego i inż. Bolesława Szarka. — Nieobecność wytłómaczyli członk. Wydz. pp. Kazimierz Brzeziński i dr. Józef Surzycki.

W sprawie wyjednania w Ministerstwie Rolnictwa uchylenia rozporządzenia, przedłużającego czas ochronny dla kuropatw na terenie Województwa krakowskiego, uchwalono odnieść się do Centrali Małop. Tow. Łow. z prośbą o interwencję w Pol. Związku Stow. Łow. Nadto odniósł się Wydział do urzędu Wojewódzkiego, prosząc, aby Województwo także ze swej strony przedłożyło Ministerstwu odpowiedni wniosek.

W sprawie kłusownictwa na jelenie tatrzańskie, które w wędrówkach ku Gorcom na przesmykach w dolinie Dunajca stają się łatwym łupem kłusowników, uchwalono odnieść się do Państw. Rady Ochrony Przyrody w Krakowie z prośbą, o możliwą pomoc i zarządzenia. Nadto postanowiono zwrócić się do delegatów łowieckich o przeciwdziałanie kłusownictwu w porozumieniu ze Starostwem w Nowym Targu.

Wydział zamianował delegatami łowieckimi M. T. Ł. na powiat i miasto Kraków, także pp. pułk. dr. Bolesława Korolewicza i starostę Stefana Różeckiego. Sprawa mianowania tychże delegatami Pol. Zw. St. Łow. jest w toku.

Wpisani zostali w poczet członków Oddziału pp.:: Tadeusz Jossé i Tadeusz Kozubski — Kraków.

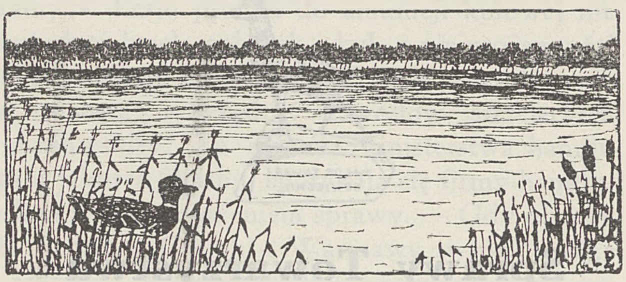
Wydano dla Władz fachowe opinje i załatwiono kilka spraw bieżących.

Wskutek zwinięcia 5 Starostw powiatowych: Grybów, Maków, Oświęcim, Pilzno i Wieliczka — zlecono powiadomić sąsiednie Starostwa o przydzieleniu do nich delegatów łowieckich, należących przedtem do zniesionych powiatów.

Członków, zalegających z opłatą wkładek, prosimy usilnie o rychłe wpłacenie zaległości na konto czekowe P. K. O. Nr. 405.265.

Z Wydziału Oddziału M. T. Ł. w Krakowie.

Prezes *Adam hr. Starzeński* Sekretarz *Stan. Morawetz*



◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇

Ponieważ obecnie wydany numer jest podwójny, następny numer wydany zostanie 1-go września.

◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇

Lista osób, które ofiarowały na jednorazową daninę dla Małop. Tow. Łow. następujące kwoty

Baworowski Jerzy zł. 100, hr. Bielski Juljusz zł. 300, Biesiadecki Władysław zł. 11, Biesiadecki Stanislaw zł. 11, bar. Brunicki Adolf zł. 300, Dr. Cieński Józef zł. 100, ks. Czartoryski Olgierd zł. 50, Gozdawa-Godlewski Juljan zł. 10, bar. Götz-Okocimski Antoni zł. 300, Łastowiecki Antoni zł. 25, Łączyński Zygmunt zł. 10, hr. Potocki Jerzy zł. 1000, Prek Henryk zł. 100, Rylski Eustachy zł. 200, Dr. Sander Alfred zł. 25, Ks. Sapieha Paweł, Siedliska zł. 20 (narazie), hr. Tarnowski Hieronim odstrzał 5 sztuk rogaczy, hr. Tarnowski Zdzisław zł. 100, hr. Zaleski Aleksander zł. 20, Zawidowski Stanisław 10 dolarów.

Jako dowód, że naszym członkom zależy na egzystencji Towarzystwa, umieszczamy poniżej jeden z wielu listów nam nadesłanych:

„Nuszcze, dn. 20/VII 32 r. Do Szan. Redakcji „Łowca", Lwów, Ossolińskich 11. — W odpowiedzi na odezwę z dn. 1/VII, zamieszczoną w „Łowcu", przesyłam Panom to co mogę narazie posłać, t. j. 10 dolarów. Niestety kryzys gospodarczy daje się odczuwać najbardziej w sferach ziemiańskich i nie pozwala mi narazie śpieszyć naszemu Towarzystwu z doraźną pomocą. — Posyłam jednak co mogę i to się przyda. Jako delegat powiatu Zborów, rozwijam akcję wśród tutejszego ziemiaństwa i wśród członków M. T. Ł., by śpieszyć z pomocą w tak ciężkiej chwili i mam nadzieję, że i oni zrozumieją, że nie możemy dopuścić do upadku tego, co najdroższe sercu każdego dobrego członka i myśliwego. Za czas jakiś będę się starał znowu coś przesłać. — Z poważaniem del. M. T. Ł. na pow. Zborów — Zawidowski Stanisław."

Nie możemy się wstrzymać jednak od najostrzejszej krytyki postępowania tych członków Towarzystwa, którzy nie wypełnianiem swych obowiązków płacenia wkładek, działają świadomie na jego zgubę.

Nazwiska ich przekażemy potomności, przez alfabetyczne wydrukowanie w najbliższych n-rach „Łowca".

Z WYDAWNICTW

ECHA LEŚNE — czasopismo ilustrowane, Warszawa. — Ukazał się czerwcowy zeszyt tego bardzo zajmującego czasopisma, przeznaczonego dla wszystkich sfer społeczeństwa. Redagowany z myślą zbliżenia czytelnika do lasu, numer zawiera jak zwykle szereg ciekawych artykułów, a między innemi o lasach mniejszej własności, o puszczy Białowieskiej wraz z informacjami dla wycieczek, o milicji leśnej we Włoszech etc. Poza nowo wprowadzonym działem: „Z życia leśnika akademika" i stałym dodatkiem „Echa Łowieckie", w numerze tym znajdujemy liczne feljetony, poezje i recenzje z teatrów i książek, kronikę polityczną, nowele, rozrywki umysłowe i t. p.

Bogaty dobór ilustracyj i piękna szata graficzna zeszytu, mile wpadają w oko czytelnika, kwalifikując to pismo do rzędu pożytecznej i chętnie czytanej lektury dla wszystkich.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32